

S Z K I C E

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru sprzedaje się osobno.)



**SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE.**

(O. O. GRASZEWSCIEGO.)

ODDZIAŁ DRUGI.

Powieść ósma.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1841 roku 31 Maja.

*Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Radzca Kollegialny i Kawaler*

JAN WASZKIEWICZ.

OSTATNIA

Z XIAŻĄT SŁUCKICH.







**OSTATNIA
Z XIAŻĄT SŁUCKICH.
KRONIKA**

z czasów Zygmunta trzeciego

P R Z E Z

J. I. Kraszewskiego.

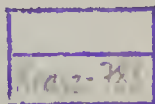
z trzema rycinami.



W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1 8 4 1.



Adamowi Zawadzkiemu

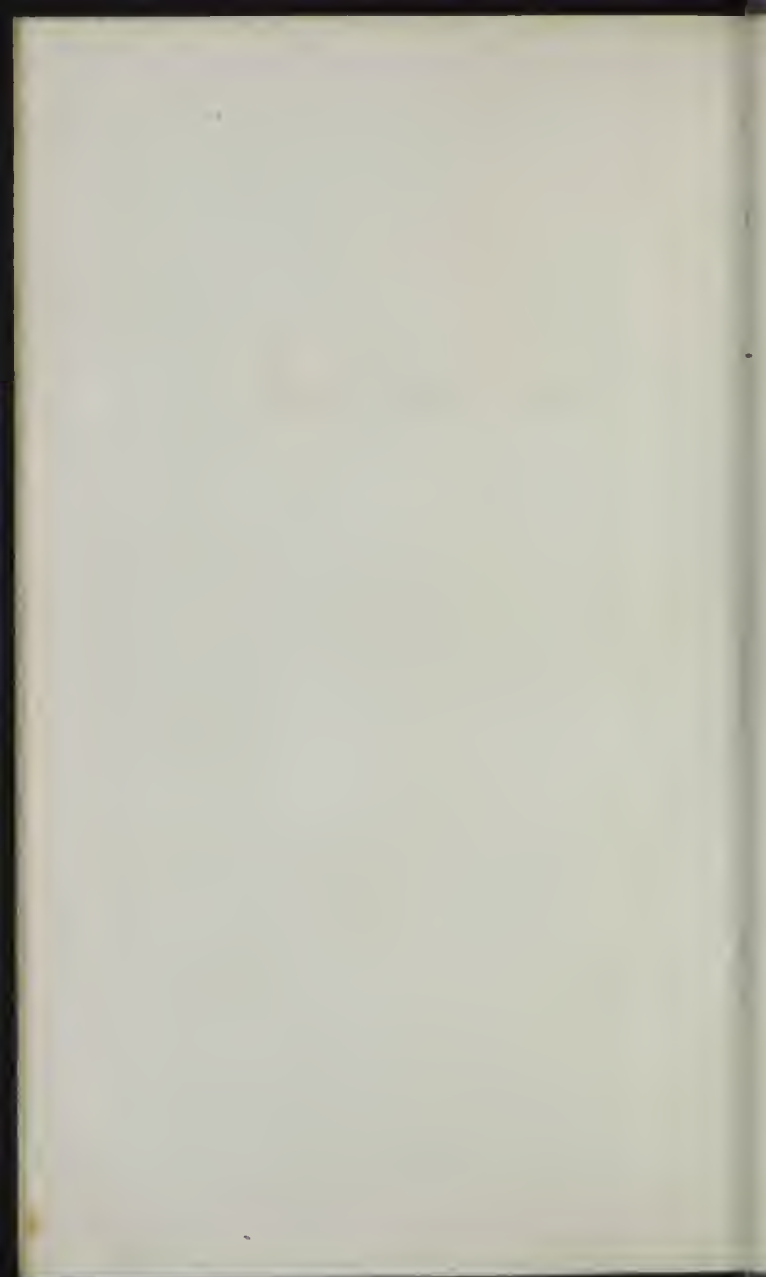
W DOWÓD

serdecznej przyjaźni

o d

AUTORA.

*d. 16 Maja 1841 r.
w Gródku.*

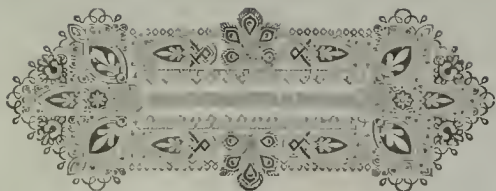


I.

Wstęp. Litwa i Wilno

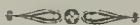
w r. 1599.





I.

Wstęp. Litwa i Wilno w r. 1599.



IE BYŁO podobno burzliwszego panowania w Polsce, nad czasy rządów bezsilnego Zygmunta III. Przez ciąg długiego jego życia toczyła się walka, poczęła jeszcze

za Zygmunta Augusta, wstrzymana chwilę silną dłonią Stefana, która pod Władysławem IV. miała być wygraną na stronę szlachty, domagającą się nieograniczonych a szkodliwych sobie swobód. Słabość Zygmunta III. którego berłem i umysłem władali Jezuici, sprzyjała walce codzien bardziej gorszącej, codzien smutniejszą zapowiadającej przyszłość. Kraj dzielił się i rozpadał na stronnictwa, wrzał wojną domową, którą tylko niekiedy niebezpieczeństwo kraju pohamować mogło wspólnym wszystkich niebezpieczeństwem. Król gorliwy katolik, dał się uwieść duchowieństwu, na którego czele stali Jezuici, w walkę z różnowiercami: powiększał się nią niepokój i zaburzenia wewnętrzne. Reforma była już silna i opierać się mogła, bo za Augusta, który władzę duchowieństwa starał się ukrócić, nabrała sił i potężnie się rozwinęła; za Stefana, który się za żadną stroną nie ogłosił i podejrzewany naprzód o różnowierstwo, nawrócony potem przez Solikowskiego, starał się tylko ściśle sprawiedliwym dla obu stron okazać; — za Stefana nie osłabła. Przy Elekcji

Zygmunta III. już partja katolicka była silniejszą, i ledwie nowowiercy sankeją prawuą, dla swobodnego spełniania obrzędów swych otrzymać mogli, chociaż Biskup Solikowski tak zapalczywie piersi był swoje obnażył, ofiarując się godność i życie utracić, nimby na nadanie swobód różnowiercom dozwolić miał. Łatwo pojąć, jak, gdy strony katolicka i nowowierska prawie na równym stopniu siły stały, w czasie Elekeji Zygmunta III., pochylenie się panującego na jedną z nich, musiało ją uczynić silniejszą i przeważniejszą. Stało się to jednak nie bez silnego oporu, i różnowiercy nie dali się od razu pożyć. Jezuita, których wpływ był tak wielki, znaczenie tak ważne, wszelkimi siłami starali się Króla zaostrzyć przeciw protestantom, i dokazali tego nareście. Wkrótce Zygmunt III., tercjarz ich zakonu, pokorny ich sługa, bo umieli zręcznie jego namietnościom dogadzać, łechtany lub strofowany przez nich, dał się nakłonić na wszystko, czego od niego żądali. Nie podobna było myśleć o nawróceniu reformowanych (choć i tak wielka ich liczba zaczęła

wracać na łono Katolickiego Kościoła) obrócono się przeciw wyznaniu Wschodniego Kościoła. Kilkakrotne a prawie bezskuteczne Unje, naprowadziły na myśl nową i skuteczniejszą. Posłani Biskupi do Rzymu z wymożonemi w Brześciu podpisami. Uczyniono z tego wiele hałasu, a następnie zajęto się przyprowadzeniem do skutku Unji, dotąd tylko na papierze będącej. Wiadomo jak głowy wyznania tego w Litwie silnie się przeciw Unji zaprotestowały, jak nacisk, którego powodem byli Jezuiti, wzbudził powszechne szemranie. Poczęło się prześladowanie mocne wyznawców Wschodniego obrządku, poczęto krzywdzić ich, osadzać unitami plebanje, zbrojną ręką nachodzić Monastéry, odwracać fundusze i uciskać dla nakłonięcia do Unji. Mały z tego był jednak skutek: prześladowanie jałtry nie nawraca, utwierdza nie pokonywa. Podobnego prześladowania od Katolicko - Jezuito - Królewskiej partji doświadczyli także i innych wyznań ludzie, wyznań, których liczba namnożyła się była nieskończenie ostatnimi czasy. Nie śmiejąc do

otwartéj stanąć walki, wszyscy różnowiercy spojrzeli na się i znieśli się, aby podać sobie ręce. Była to myśl wyborna, lecz w skutkach mała, dla tego, że bez jedności wiary, choć ich jedno łączyło niebezpieczeństwo, nie mogło być zupełnéj zgody, jednostajnego dążenia i działania. Nie próbując nawet połączenia duchownego, wszyscy różnowiercy, greccy, ewangelicy, proteſtanci, arjanie i t. d. uczynili konfederacją w Wilnie 1599 roku. Na jéj czele stali najmożniejsi różnowiercy Korony i Litwy. Ta konfederacja za cel miała *conjunctis viribus* oprzeć się zagrażającym krokom zaczepnym stronnictwa Katolickiego; stanąć przeciw prześladowaniu murem; bronić się od niego. Skonfederowani oświadczyli, że nie dopuszczą nadużyć, że zbrojną nawet ręką staną przeciw Katolickiego duchowieństwa najściom i uciskom. Odkryto w akcie związku wszystkie rany dolegające im, wezwano do wspólnej obrony, naznaczono prowizorów do czuwania nad całością Kirch, Cerkwi i Zborów, zagrożono kraj wojną domową. Dwieście osób ze szlachty nalczały do

tėj konfederacji, Xiążęta Ostrogskie, Sanguszkowie, Wiśniowieccy, Koreccy, Rożyńscy, Gorsey, Sołomereccy, Puzynowie, Radziwiłłowie, Hlebowicze, Hołowczyńscy, stali na czele; z Polski mniejsza liczba i mniej przemożnych osób. Dziwno jest że tak na pozór znacząca konfederacja rozbiła się bezsilnie, i ledwie biernie oporem samym działać mogła przeciw Katolicko-Królewskiemu stronnictwu. Lecz, jakkolwiek dla swobód religijnych, mało o tém związek szlachty uczynił, pomógł on rozruchy w kraju i wyraźniej jeszcze podzielił go na dwa stronnictwa nieprzyjaźne, katolików i nowowierców. Radziwiłłowie i Xiążęta Ostrogscy stali na czele jednój; Król, Jezuita, Chodkiewicz, Mnichowie, Sapichowie, drugiej.

Potrzebowaliśmy w kilku słowach ten stan kraju określić, aby co następuje zrozumiałszym i jaśniejszym się stało.

Tak się więc miało w r. 1599 — Szlachta dzieliła się na dwa stronnictwa, jednemu Król, drugiemu możni różnowiercy przewodzili. W Litwie, mianowicie skutkiem powołności

Zygmunta Augusta, który usiłując ukrócić władzę duchowieństwa, powiększył swobody różnowierców, liczba tych była znaczniejsza, głowy więcćj znaczące. Wpływała na to i liczba wyznawców Wschodniego Kościoła; liczba wielka, pomnażająca stronnictwo i uciśnionych. Znacznie później pod wpływem czasów Zygmunta III. powrócili Sapielowie, Radziwiłłowie Ostrogscy i inni, na łono Katolickiego Kościoła. Tym czasem, w r. 1599 najmoźniejsi byli ze strony konfederacji, słabsza daleko partja katolicka, na której czele ulubienicy Królewscy, stali Chodkiewicze.

Wilno, stolica Litwy, było ogniskiem walki, począwszy od wprowadzenia tu Jezuitów. Przed niemi przemagali tu różnowiercy, lecz już za Stefana i zaraz w początkach panowania Zygmunta III. wzbili się w siłę pod wodzą Jezuitów Katolicy i rej wiedli. Któż dziś jeszcze nie wie, że Jezuitów wszelki oręż, wszelki sposób był dobry, byle ich do zwycięztwa prowadził? Siłą, zdradą, namową, pieniędzmi, waleczyli bez wyboru, i coraz a coraz mocniejsi, coraz przeważniejsi, coraz nie-

bezpieczniejsi się stawali. Kiedy pierwsi z ich zakonu przybyli do Wilna, kupy śmieci i gnoju, leżały przed Archiprezbiterjalnym Kościołem Ś. Jana, a śpiew psalmów we Zborze sąsiednim, głużył nieśmiało głosy gregorjańskiego kantu kapłanów katolickich. W lat niewiele potem, zaczęto palić xięgi różnowierców w Rynku ręką kata! lud napadał Zbory, rzucał kamieniami na przechodzących pastorów: w lat kilka reformowani osłabli i ledwie się bronić mogli. Uniei odbierali Cerkwie i Monastéry Grekom, a gdy Trybunał osądził w duchu prawdy przeciw nim, Król kassował dekret i sądził za niemi! Co chwila, po ulicach, smętarzach, u drzwi kościołów odbywały się walki krwawe o ich posiadanie, bito się w przedsieniach Cerkwi, trupami zawalały się stopnie ołtarzy, katolicy zwyciężali. Powoli drukarnie Protestantów upadły, 'pogorzały zbory, osłabli na duchu różnowiercy, a raczej ucznili się bezsilnemi przeciw nieskończonej liczbie i rodzajowi oręży Jezuitów, którzy podstępem, bojem, kłamstwem i czémże jeszcze! nie szli do celu.

Jednakże w 1599 roku, gdy się nasza powieść zaczyna, w czasie zwłaszcza kiedy Konfederacja różnowierców zawiązała się, trwała jeszcze walka w Wilnie, jeszcze opornie stawali nowowiercy, jeszcze się przy Cerkwiach trzymali Grecy, jeszcze po Zborach śpiewali głośno Ewangelię i księgi drukowali, jeszcze bój był w całym wrzątku, a chociaż widać było jak na dłoni, kto przemoże, strona słabsza nie wyrzekała się jeszcze nadziei. Bez nadziei zwycięstwa, nie ma walki. Niesprawiedliwości przeciw Katolikom popełniane, zgwałcenie przywilejów, nadań, swobód, dodawały ducha; bo ucisk, bo krzywda, wołają o pomstę, dają otuchę pomocy Bożej. Bóg za skrzywdzonym zawsze. Lud w Wilnie był Katolicki w części, w części Ruski — Rusini sprzyjali konfederacji — miasto więc także dzieliło się na stronnictwa. Magistrat nawet miasta był podzielony; na czele jego stał Wójt Magdeburskiej Juryzdyki Maciej Borzymiński, bezprawnie przez Króla miastu narzucony. Wybory urzędników w Magistracie okazywały, że i tu Jeznici wielki wpływ mieli: wy-

łącznie bowiem prawie obierano Katolików, szukano nawet praw do usunięcia całkiem różnowierców, a Greków, którym odwieczne przywileje dawały miejsce w Radzie i na Ławie, zastąpiono unitami. To było co do głównej części miasta, to jest Juryzdyki Ratuszowej, lecz Wilno jak inne miasta, nie jeden Rząd miało, co dla niego było wielce szkodliwem. Dawniejsze nadania Biskupom, Kapi-tule, Mniehom, kawalków ziemi i domostw z wolnością rządzenia niemi, podzieliły miasto na nieskończoną prawie liczbę, części, z których każda osobny swój zarząd niezależny miała i inne prawa. Tak w jedném mieście było prawie miast kilka osobnemi prawy rządzonych. Ledwie na niektóre ogólne prawidła porządku godziły się juryzdyki, częściej z sobą walcząc, aniżeli się wzajemnie wspomagając. Ztąd nieporządek największy, nadużycia bez liczby. Rzemieślnicy cechowi, mieli niebezpiecznych wspól - zawodników w partaczach, którzy nie należąc do cechu, pod opieką, na ziemi, w Juryzdyce Biskupa, wyroby swoje sprzedawali swobodnie. Włó-

czego, zbrodniarz, lękając się sądu, uciekał się do której z Juryzdyk, i otrzymawszy protekcję, czasem jedynie wyświadczoną mu dla dopieczenia tém nieprzyjaznej Juryzdyce, nie mógł już być schwytany, a gdy tylko wpisał się i zamieszkał tam, pozywany i sądzony. Codzielné nowe wyrastały spory, nowe zajścia. Magistrat nie miał siły przeciw wszystkim, a szlachta, Wojewodowie, Starostowie, duchowni, robili co chcieli. Oprócz Juryzdyki Ratusza głównej, były jeszcze — Zamkowa którą rządził Wojewoda, i od niego wyznaczony Podwojewodzi, — Biskupia, Kapitulna, Mniszych kilka, Metropolitańska i t. d. Każda swemi urzędnikami rządziła się jak chciała, wybierała podatki, miała osobną Ławę i Sądy osobnego Wójta. Żydzi byli pod prawem Statutowém i Podwojewodziém, chociaż zamieszkiwali w Juryzdyce Miejskiej; snąć dogodniejsze im to było, gdyż się ciągle odwoływali do Statutu, a bronili od Magdeburskiego prawa.

Magistrat usłachcony przez Zygmunta Augusta, i obdarzony wielą swobodami nie miał jednak dość siły, aby się oprzeć bezprawiom.

Raz w raz uciekać się musiał do Króla, co raz nowych żebrać pomocy, a zawsze prawie bezskutecznych; ulegał wręście i milezał, kupując częstokroć pokój zamknięciem oczu na bezprawia.

Duchowieństwu, jakśmy rzekli, przewodzili Jezuici. Od czasu ich nastania, oni byli jedni na świeczniku, a za Zygmunta III. całkowicie nim o władnęwszy, stanęli na czele Katolickiego duchowieństwa wyraźnie. Kapituła Wileńska, wprzód jedyna obrońicielka wiary, teraz zdawszy się na nich, zajmowała się tylko wewnętrznymi urządzeniami, administracją Kościoła, majątków i domów swoich. Nikogo nie było na tronie Biskupim, kilkoletnie trwało bezkrólewie. Litwini bowiem obrażeni nominacją polaka Maciejowskiego, którego list instalacyjny wyszedł był pod pieczęcią Rancellarji polskiej, pokładając przywileje swoje, że tylko Litwin mógł zasiadać pierwsze Biskupstwo Litewskie, oświadczyli się, że Maciejowskiego nie przyjmą i choćby przyszło broni użyć, z bronią w ręku go odepchną. Nie stawił się Maciejowski do

walki, a tak Biskupstwo wakowało; tajemnie zaś, chociaż napróżno czynione starania o przyjęcie nominata, poszły w nie; aż dopiero w roku następnym przekonany że nie przemoże stałością oporu, odstąpił od swego Maciejowski. Tym czasem duchowny zarząd diecezji Suffragan z Kapitułą utrzymywał.

Wojewodą był jeden z najsilniejszych różnowierców Krzysztof Xiąże Radziwiłł; Rasztelanem gorliwy katolik Hieronim Chodkiewicz, spokrewniony z nim, powierzchownie niby w przyjazni; lecz w istocie związku ich stygły wspomnieniem dawnych jakichś zajęć familijnych, nie było poufalości, życzliwości nawet; wzajemna nieufność i zimna grzeczność.

Taki był stan Wilna w końcu XVI wieku, a fizjonomja jego zdawała się odpowiadać obecnemu stanowi wewnętrznemu, malując dobitnie tę walkę, spory i brak jedności, które Wilnem szarpały.

Znaczne to już było miasto, przedmieścia jego po za bramami okryte licznymi domki uboższych mieszczan, podobuemi do *um* litewskich, już gdzie niegdzie zdobiły i prze-

działaly bielejące, czerwieniejące mury. Na Wilji wznosił się most zielony, na Łukiszkach błyskał xiężyceem meczet tatarski, stara bndowa z witolldowych czasów, meczet Tatar, którym także dojmowało prześladowanie, a nikt ich nie bronił prócz nadań, bo konfederaci, jako nie Chrześcian i nieprzyjaciół chrystusowego imienia, między siebie nie przyjęli. Byliby się w opinji zabili z niewiernemi mieszając.

Miasto dzieliło się, jakeśmy mówili, na kilka juryzdyk. Główna była ratuszowa, jēj stolica Ratusz, ngromny gmach z wieżą zegarową, wieżycami bocznemi, wznosił się wpośród rynku głównego miasta, w sercu miasta, otoczony czworogrannemi kramy, w których wszelkiego rodzaju towary na sprzedaż wystawiano. Tu były także jatki; tu rozwieszano jaskrawe sukna i bogate materje, sprzedawano żelastwo i futra i sól i skóry i wszystko co się sprzedaje, co się kupuje. Wokoło zasiadali przekupnie, wózki rzemieślnicze, na łokciach z obuwiem szewcy, slosarze, krupnice, sołecznicy, łakotnice i t. d. Bo-

gatsze kramy kupców rozsypane były po mieście; jednakże i w sklepach pod Ratuszem zamożni mieszczanie zasiadali. Pomiedzy lokciami, kramami i ciżbą handlarzy, wznosiły się po dwóch stronach Ratusza dwa przypomnienia kary i sądu, władzy Magistratu, wójtowskiego prawa miecza, pręgierz zwany pospolicie Pilatem (pilori) i szubienica. Niekiedy po pod niemi suwał się w jaskrawej barwie płatny od miasta Rat, czyli Mistrz z pacholki swemi.

Rynek podle Ratusza napelniała wrzawa ciżba kupujących i sprzedających, których scisk powiększał się w ciasnych i ciemnych szyjach, służących za wejście do kram, osadzonych pilnemi na czatach złodziejami, z okiem wlepioném w taszkę nieostróznego szlachcica, skórzane kieszenie starój matrony, kalétę sługusa.

Pod Ratuszem jeszcze siedzieli wyrobnicy, przedziennicy, z pilami, siekierami, rydlami, taczkami, czekający aż ich kto do roboty najmie. Niedaleko wywieszony znak nożyce olbrzymich zwiastował postrzygąlnicę miejską,

przeciw której już stawać zaczynały pokątne współzawodnicze, chérłające, póki ich opatrzywszy się Monopolium, jedném machnięciem ręki nie zabiło. W dolnych Ratusza izbach były kramy także, sklep win miejski i skład towarów. Tu była waga i zabojuńca wosku, na górze izby obrad i sądów wójtowskich, w których błogięj pamięci Augusta portret jedyną stanowił ozdobę. Tam także znajdowały się archiwa i skarbee miejskie pod kilką zamkami, od których klucze dzwigali za pasem panowie Burmistrze. Na wieży zegarowej wybijał godziny półzegar, a niżej gale-ria żelazna przeznacona była dla muzyki, która w wielkie święta grywała dla ludu dzień i noc wesole melodje narodowe.

W rynku mieszkali kupey; było też kilka Cerkwi Ruskich; na lewo skromna na piętrze kamienicy starój Piacionka, na prawo Cerkiew Sw. Mikołaja zasloniona domostwy, niewidna z ulicy, której tylko wierzchołek wyglądał ku niebu. Istny obraz stanu ludzi, którzy do niej uczęszczali. Blizėj jeszcze był stary, opuszczoney Zbór Ewangelicki. W tyle za

Ratuszem, poczynala się ulica Niemiecką zwaną, kędy żydostwo na miasto się wylewało i gdzie najwięcej widać było czarno-strojnych Izraelitów i białych spródlów zamężnych żydowie, wlokących się aż po ziemi. Tam były dwie kamienice za Ratuszem, zowiące się Raj i Piekło. Dalej wgląb wiodła ulica, na której w lewo wznosiły się mury Cerkwi Stauro-pigjałućj św. Ducha w Monastérem. Na prawo rozległy dom gościnny kupców ruskich i Monastér grecki także św. Trójcy, niegdys fundacji Xiążąt Ostrogskich, wielkiego Konstantego. Po za Cerkwią św. Ducha spuszczała się wązka uliczka w przedmieścia na lewo, którą później zajęły zabudowania Xięży Karmelitów.

W ulicy Niemieckiej równy gwar jak koło ratusza panował, a gorsze sto kroć niechlujstwo. Z otwartych na ulicę kramików i jatek wyglądały twarze poźółkłe żydów; po ścianach domostw widać było zuaki złéwanych w ulicę pomyjów; trudno było przejść, trudniej przejechać między kupami gnoju i śmiecia aż po piętra piérwsze wznoszącemi

się z obu stron. Środek ulicy zajmowało nigdy niewysychające smrodliwe błoto czarne; a boki wyłożone tarcicami, wydeptane ludźmi jezdniemi i przechodniami, z trudnością ominąć kałuże i kupy dozwalały. Domy otaczające ulicę Niemiecką, także Jatkową i Szklaną, gdzie Żydzi najwięcej mieli sklepów i w największej liczbie mieszkali, były wysokie, czarne, brudne, często z zwieszonemi nad ulicą gankami i galerjami, na których wisiały długie rzędy bielizny mokrój, z których niełitościwie lały się na głowy przechodniów smrodliwe pomyje. Jak noc i zmierzch, nikt się wtedy nie ważył iść sam jeden, każdy omijał zaułki ciemne, a mianowicie uliczki Żydami zarosłe.

Idąc od Ratusza ku Zamkowi, inny wcale był pozór miasta; i tu się świeciły, pałace obok klatek drewnianych, kościoły, cerkwie, karczmy i gospody. W ogólności czyścić tu było i mniej żydostwa się plątało. Tędy wlokły się ciężkie karoce i kolasy, biegali jezdni, dworzanie panów, jurgieltnicy i komornicy możnych, tędy przechodzili duchowni, któ-

rych nieraz wśród ulicy znieważał zapalony gniewem różnowierca. Tu na prawo był wielki pałac Xiążąt Ostrogskich, Chodkiewiczowski nowo restaurujący się, w czworogran zbudowany, jak wszystkie prawie ówczesne pałace, dwóma bramami otwierający się na dwie równoległe ulice. Niedaleko i w tym samym rzędzie stała cerkiew dawna Bogarodzicy, zdająca się grozić upadkiem; żółte jej mury pokręślił czas i powalała błotem ręka nieprzyjawnego ludu. Dalej szczerzej rozchodziła się ulica, aż do miejsca, gdzie na lewo pałac Radziwiłłowski i kościół nowy Jezuitów się wznosiły. Ztąd ku Zamkowi postępując, małe domki kapitulnej juryzdyki dziś nieporządne i brudne otaczały z obu stron ulicę. Czuć tu już było sąsiedztwo Zamku, po wrzawie i tłumie ludu ściskającego się w bramie Zamkowej. Na prawo warczały i turkotały młyny królewskie, na lewo siedzieli przekupnie, sprzedający żywność mimo zakazów, pod samą bramą Zamkową. Tę przeszedłszy dawały się widzieć obszerne mury Zamku dolnego. Był to gmach ogromny, lecz niepię-

kny weale; znać było po nim, że go budo-
wały nie jedne ręce i nie jeden rok, że się
złożył z Augustowych kamieni i szwedzkich
Zygmunta marmurów. Dzielił się na trzy
dziedzińce obszerne, całe otoczone murowa-
nemi domostwy, do których przytykał z ogro-
mnym wyniosłym dachem i wieżami kościół
katedralny, Zamkowy św. Stanisława, na le-
wo. Blisko niego oparte były puszkarnie i
drobne domki puszkarzy. Tu były tarmy,
tu zasiadał Pan Podwojewodzi, dziedzie Zam-
ku po Augustcie! tu stolica juryzdyki Zam-
kowej Wojewodzińskiej. Po nad mury Zamko-
we dolnego, na górze widać było wznoszące
się gruzy okopciałe i zwaliska kościoła Sw.
Marcina i wieżec Zamku górnego, dobrze na-
dwerężonego laty. Dalej jeszcze sterczały trzy
krzyże na górze, biała wieżec Bekieszowej
mogily, przypominająca grób wygnańca, któ-
ry na żadnym smętarzu nie znalazł przytulku,
i sam jeden z Wadaszem Panończykiem spał
na wysokiej górze. Od strony rzeki nad Zam-
kiem wznosiła się wieżec zwana latarnią. Tę-
dy szła droga na Antokolskie przedmieście.

Zamek niemieszkalny i prawie pusty zajmował Podwojewodzi, w części więźniowie, w części składy. Mniejszy tu był ruch i życie, bo nikt w zamku nie mieszkał od czasów Augustowskich, kiedy te mury były tak ożywione, tak świeże i wesołością tętnące! Jednakże zaludniało zamkową ulicę sąsiedztwo kościoła najbardziej uczęszczanego i pierwszego w Wilnie, którego czarne dachy panowały nad Zamezyskiem, najeżone krzyżami.

Ulica idąca od Jezuickiego Collegium, zwana S. Duska, wiodąca do Bramy Troickiej, mieściła liczne pałace możnych, od których nazwana została Senatorską. Na prawo nieco odległe wznosił się w sadzie pałac Biskupi, nieopodal od Jezuickich murów, a za nim kaplica S. Krzyża. Dalej kościół S. Ducha, a koło drzwi jego stały budki nбоgieh żebraków. Na przeciw nich był szpital S. Trójcy i pałac Sapieżyński szeroko się rozciągający. Dalej jeszcze inne pałace ciągnęły się, a pominąwszy rozchodzące się w dwie strony i przecinające Senatorską, ulice Niemiecką i Wileńską, spotykałeś Kościół P.

Marji na piaskach, z obszernym klasztorem, za któremi w głębi była Brama Trocka. W niej siedzieli pobierający opłaty pacholłowie miejscy, często klóćący się, czasem aż do bójki z przyjeżdżającymi dopuszczający się. Wszystkich niemal bram jedna była powierzchowność, osadzone wieżyczkami, z mieszkaniem o kilku oknach na górze, zamykane wrotami mocnymi, nabijanymi gwoździami, zaciągane czasem łańcuchami, jak i Most Zielony.

Ku Zielonemu Mostowi scisk i ciżba znowu były większe niż w mieście samém. Tędy bowiem szli żydzi na swoje mogiłki, tędy wwożono zboże, siano, drzewo, i t. p. od których pobieranie opłaty były powodem żwawych czasem sporów. Tędy szumnie wjeżdżała szlachta, pilnując aby się nie opłacać na moście i celnikom grożąc miną i brzęczącą szablą. Nacisk z téj strony był większy, a ciasny most, kryty z wierzchu i osadzony w środku trawnikami, ledwie wystarczał przechodniom jeźdźnym i pieszym. Na noc zaciągano łańcuchy. Obok mostu przewozili się niekiedy

ludzie łódkami dla wylamania od opłaty; na nich mianowicie spostrzegales Żydów przewożących się z ciałami nieboszczyków na okopisko.

Tak wyglądały różne części tego miasta, w którym odbyć się ma większa część wypadków naszej powieści. Powiedzieliśmy już że wszystka fizjonomja nawet miasta, okazywała odbywającą się w niém walkę — Stały bowiem obok Kościoły i Cerkwie, Kościoły i Meczety, Zbory i Bożnice, klatki i pałace. Żydzi mieszały się z Litwą, Litwa z Rusią, szlachta z mieszczanami, duchowni i różnowiercy, Tatarzy i xięża, kupcy i panowie. — Jakże się mieli pogodzić, jak się nie było kłócić?

Nie opisaliśmy niektórych części miasta, już to, że lepiej odmalujem je w ciągu naszej powieści, już że w nich nie wyraźniej odznaczającego się nie było. Wspomnim tylko jeszcze o przedmieściu Antokołskiem, po za Zamkami rozciągającym się, niebardzo wówczas zaludnionem i zabudowanem, które na prawo zdołał pałacyk Wierszupski i grodzony Zwierzyniec, na lewo kilka pałacików.

W głębi ukazywał się drewniany kościółek S. Piotra, który tylko krzyżykiem od domostw się odznaczał, a raczej szopą był niż kościołem. Stał on na miejscu dzisiejszego, w cieniu ogromnych lip starych. Po za nim bieleł wielki pałac Pacowski, a dalej jeszcze wspaniałe budowy Sapieżyńskie z ogrodami i znaczną liczbą drobnych domków dokoła. To przedmieście było podobno najmniej ruchliwe, najspokojniejsze. Natomiast od strony Trockińj Bramy, od Końskiego Targu krzyżku i wrzawy najwięcej, równie jak przy Rudnickich Wrotach i Zielonym Moście. Ku Ostremu końcowi na gościńcu od Lidy, Miednickim zwanym, nie tyle już było życia. W téj stronie mieszkała największa liczba Rusi, łatwo dającj się rozpoznać po narodowym stroju; tu snuli się brodaci Mnisi i Czerncy, Rupecy z Moskwy i Tweru. Dom ich gościnny wspomniony już, stał jakby na straży, w bliskości dwóch najcełniejszych Cerkwi i Monastérów. — W głębi miasta, po ciasnych zaułkach, niechlujstwo na wielkich ulicach niebezprzykładne, jeszcze by-

ło w wyższym stopniu. Tam za ledwie przejść, przecisnąć się, przejechać było można, za kupami gnojów i smieci, zawałającemi obie strony wrót każdej kamienicy; ostrożność kazała oglądać się przechodniowi na galerje otaczających domów, z których nieczyste tam i sam spływały potoki. W tych uliczkach sciskała się najuboższa część ludności, już w starych murowanych domach, już w kletkach drewnianych często podpierających się pod najwspanialsze gmachy. Tu widać było nędzarzy z Bractwa Miłosierdzia, włoczęgów, łazuków, filutów, hultajów, w dziwnych ubiorach, z dziwnemi twarzami różnych krajów, tu przelatwały odarte kobiety, nie wahające się drwić z przechodniów lub łajać ich. Tu noc bywała świadkiem scen złodziejskich i mordów potajemnych. Tu kryła się zbrodnia, rozpusta; ubóstwo i nędza często przyczyna rozpusty i zbrodni.

Na wszystkich ulicach obok rozsypanych gęsto Kramów, pod bokiem pałaców i kościołów, otwierały się drzwi wicchę nacechowanych gospód i szynków. Wszędzie ich by-

ło pełno, a łatwo je było poznać, po otaczającym drzwi tłumie, po wywieszonych w oknie miarach, po wystawionych rumianych obwarzankach i białym chlebie. U wrót porządniejszych gospód uwijali się jezdni, podróżni z końmi w ręku, szlachta drobna. Panowie rzadko lub nigdy nie zajeżdżali do gospód, mając lub swoje własne po miastach pałace, albo zawsze otwarte gościeńce wrota swych powinowatych i przyjaciół. Szynki drobniejsze, z których na ulicę huczały krzyki i swary z głosem skrzypiec piszczącym lub przechodniego Tatarzyna, śpiewem kołby piskliwym — były ulubioném miejscem schadzki najniższej klasy pospólstwa. Niektóre z nich utrzymywali żydzi. Szynkowano w nich piwo i wódkę, miód w niektórych tylko. Jedną z najporządniejszych była gospoda Posłów Moskiewskich gdzie i szynk był miejski, agdy posłów nie było, stawali tu i sami podróżni. Inne gospody różnemi znakami odróżniały się, nazwiskami gospodarzy, różnobarwnemi wiechy i wizerunkami po okiennicach. Rozsypane były po całym mieście,

ku wygodzie podróżnych. Najpospolitszym znakiem wszelakićj karczmy, szynku i gospody, bywała wiecha zielonćj sosniny, powiewająca na dachu lub we drzwiach. W gospodach były garkuchnie, były i osobno na ulicy Skopowćj i innych, lepsze i gorsze, popolicie jednak ubodzy tylko w nich jedli, szlachta cokolwiek zamożniejsza, w owym wieku powszechnćj gościnności, nie trudziła się stołem, któren był dla nićj w każdym domu znajomym zawsze nakryty. Miejscami schadzki publicznej były także łaźnie, najporządniejszą z nich utrzymywało miasto. Przedawano w łaźniach trunki; tuż mieszkiwał balwierz, w którego oknie błyszczały talerzyki mosiężne. — Do niego schodzono się na gawędki, golenie głowy i bród.

Rzemieślnicy i inni, wywieszali miasto znaków, narzędzia swojego rzemiosła lub wyroby, krawiec nożyce, szewc bóty, stolarz trumnę małą i t. p. Szynki i wiechy najgęstsze były w mieście, i co dwa domy prawie natrafiało się na zieloną gałąź. Muićj

ujż było daleko winiarni, przeznaczonych
zamożniejszym.

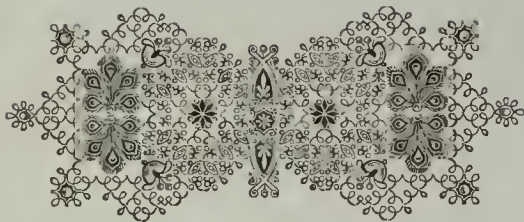
Na przedmieściach po za murami, rzadko
pokazywał się porządniejszy, lepij ubrany
mieszczanin, przechodzień — tam mieszkalo
ubóstwo w chałupach w ziemię zapadłych,
z których połowę zajmowało bydło — poło-
wę kopał dym czarny. Ztąd to wychodziły
kobiety odarte, mężczyźni w czarnych i szarych
smokach z siekierą lub pilą na plecach.
Ztąd na miasto co rana roznosiły mlęczarki
nabiał wszelaki. Tu mieszkaly ubogie prze-
kupki. Ulice, przedmieść zalegały stada by-
dła i świń. — Pomiedzy chatami tam i sam
rozciągały się sadły i ogrody warzywne zasi-
lające miasto, uprawiane przez ubogich Ta-
tar po większej części, z przedmieść Wilna
i Trok, opatrujących miasto w owoce i wa-
rzywa. — Lecz dość opisu, a czas podobno
zacząć powieść naszą.



II.

**W kamienicy Starosty
Żmudzkiego.**





II.

W kamienicy Starosty Żmudzkiego.



BYŁ to wieczór, ostatnich dni roku 1599. Śnieg pokrył białym płaszczem zimny dachy kościołów i domostw Wilna, popruszył ulice, środkiem których tylko niezmar-

złe jeszcze czerniały drogi błota. Godzina gaszenia ognia wybiła i wydzwoniona była z ratusza, Pachołkowie i nocni stróże wybierali się przebiegać ulicę, a jeszcze ognie błyskały prawie we wszystkich oknach kamienic i pałaców, szynki stały otworem i wrzawą pijacką odzywały się; mnóstwo ludzi włóczyło się po ulicach, gwar i życie były w mieście. Jednakże kramy pod Ratuszem, jatki i klatki dawno były zamknięte, z łokciów przechodzili się rzemieślnicy i przekupnie, targi ustały. Lud bawił się w szynkach, a panowie po pałacach, w spokojnych domach mieszczan swobodną wicdli gawędę przerywaną tylko milczeniem, gdy uderzenie do wrót kamienicy zapowiadać się zdawało stanowniczego, napadającego tak często domy mieszczan i rugującego gospodarzy dla posłów, urzędników i posłańców. Po klasztorach w chórach tylko słyszeć było śpiewy wieczorne. W ulicach przechodnie rzadnieli co chwila, głosy cichły, po jednym zamykały się szynki, garkuchnie, łaźnie, gasły światła, ruch ustawał, miasto zamykało oczy błyszczące i na sen się kładło.

W bramach miejskich zaciągano łańcuchy, zamykano ogromne wrota, stawała straż noena. Pacholcowie obchodzili z hallegbardami ulice śpiewając piosnkę znajomą odwieczną:

Mospanie gospodarzu
Siódma na półzegarzu,
Strzeżcie ognia i złodzieja!

Właśnie też złodziejska poczyniała się godzina i z szynków podejrzanych blisko złodziejskiego rynku wymykali się przez brudne domostwa, przemysłni oszuści, z kutemi maczugami, nasiekaniem kijami, czatując na obłąkanych po zaułkach przechodniów.

Śnieg pruszył a księżyc wschodził. Na ulicach mimo spóźnionej dość godziny, nie było ciemno jeszcze.

W ulicy wielkiej, Chodkiewiczowski pałac stał ciemny, w jedném tylko okienku od tyłu, paliła się świeca żółta, której blask przez szklanne w olów oprawne blony wypadał na ulicę, wrota pałacu jak i wszystkich przedniejszych domostw były już dawno pozamykane na klódki i poprzecznemi okutemi drą-

gami zaparte. Była godzina ósma, gdy na ulicy dal się słyszeć tentent kilku koni i do wrót głównych od wielkiej zapukano. Wrota były zaparte, furtka obok nich w grubym murze wybita, także. Kilku jezdnych okrytych płaszczami stali u wrót, a jeden zsiadłszy z konia, uparcie wołał i stukał do bramy.

— Jest tam kto? hej! Odźwierny! Wrotny! Czyście pomarli? Héj! Ozwij się tam który — héj! Słyszycie! Czy się tak wczesnie pospali, czy po szynkach piją. Sam tu wrótny!

Kilka głów pokazały się z okien przeciwnego domu przez błony i znikły; a z palacu nie się nie ozwało, nikt znaku życia nie dał.

— Trzeba, rzekł jeden z przybyłych, obejść chyba palac i do drugich wrót szturmować, może z tamtej strony nie śpi kto jeszcze — Dajcie pokój stukaniu!

Po tych słowach ruszyli się mijając starą cerkiew Bogarodzicy, zwrócili w prawo na placyk i puścili się ciasną uliczką w prawo, zajeżdżając przed drugie wrota palacu. Tu zaraz obaczyli światło w oknie, i ten sam, któ-

ry do wrót z przeciwnéj strony pukał, jął się i tu dobijać. W oświeconém oknie ukazał się cień człowieka patrzącego w ulicę, a głos dał się słyszeć.

— A kto tam?

— A kto! A kto! Godzina jak szturmujemy. Toż swoi jesteśiny. Pan Barberjusz i my służy Jegomości przybywamy tu za jego rozkazem.

Z okna znikł cień i słyhać było dobréj nadziei gwar w środku pałacu; po czém odsuniono rygle, otworzono klódki, ukazało się światło we wrótach przez szczeliny i podwoje ciężko skrzyły na zawiasach. Jezdni wdziedziniec się schronili, a wrota znowu jak wprzód zaparto za niemi.

Jan Karol Starosta Żmudzki właściciel pałacu nie znajdował się pod ów czas w domu, co i po cichości, a wyludnieniu jego, łatwo poznać było można. Z jego ręki przyślany, przybywał tu Barberjusz, to jest Wilhelm Barbier Francuz inżynier, spólaćzały cudzoziemiec. Z nim było kilkunastu dworzan Pana Starosty i kilku młodej szlachty, zosta-

jących na dworze Chodkiewiczów, do ich familji zdawna przywiązanych. Z cichego jednak obejścia przyjezdnych widoczném było, że ktoś ze znakomitszych w pałacu mieszkał, choć nie sam Jan Karol. Zsiedli z koni przybyli, oddali je hajdukom i masztalerzom, a kazawszy pozdejmować tłumoczki, udali się za dozorcą pałacowym, który zszedł był z pękiem kluczów na spotkanie, a teraz prowadził ich po wschodach stromych do mieszkania im wyznaczonego na górze.

Przed niemi niosł w latarni świecę młody chłopak posługacz, za którym ciężko stępując siwy Pan Dozorca postępował, a za nim dopiero Pan Barberjusz i inni przyjezdni drapali się na górę.

— Czyż tu moja kwatery? spytał wreszcie zmęczony długą podróżą Francuz nieco z cudzoziemska. Tak wysoko? Dozorca obrucił się i do lisem obszytej czapki przyłożywszy rękę, odpowiedział:

— Innego niema, wszystkie zajęte, zamówione lub założone bronią i amunicją, albo dla przyjaciół P. Starosty pozapisywane, te

tylko wolne dla WMości, i rozumiem, że dobrze mu będzie, bo z niego cały pałac z góry widzieć można.

Stanęli wreszcie u drzwiшек wiodących do mieszkania, z galerji otaczającej wystawkę piętrową, która na lewém skrzydle pałacu, jak wieżyczka lub latarnia wystawała. Tu jął do zamka próbować kluczy Dozorea i wreszcie kute dębowe drzwi otworzył, przez które na-przód wszedł z latarnią chłopiec.

Podróżni wcisnęli się do izby piérwszój, za którą widać było drugą i trzecią, równie jak ta ciasne i nagie. Gołe ściany białe, do-koła dębowe lawy, stoły w pośrodku, jeden piec na trzy komnatki, obszerny komiń z wy-soką czapką, okna w blonach ołowianych—oto wszystko, co tam znaleźli. Podłoga była z ce-gły. Chłód dojmował w izbach dawno nieo-palanych i zamkniętych.

— Chyba nas chcesz pomrozić panie Bur-czak; na Boga! rzekł Francuz, ja tu nie wy-trzymam nie tylko nocy, ale godziny, wole szukać gospody.

— Kiedy mówię, odpowiedział Dozorea za-

bićrając się do wyjścia, że innego mieszkania niéma w całym pałacu.

— Ależ, rzekł Barberjusz, toć gdziekolwiek jest jedna choćby izba ciepła, w której przenocujem nim się ta ogrzeje.

— Chyba pójdziecie się ogrzać do mnie, rzekł P. Burezak, a ja tym czasem każę tu ognia zapalić i znieść wasze tłumoczki, którym zimno nie zaszkodzi.

— Najchętniej Panie pójdziemy, rzekł drugi młodszy, bośmy djabelnie przeziębli, a do tego i głodni, tu zaś mimo głodu opętanego nie ukąsim nic, chybabyśmy ławy i stoły pozjadać chcieli.

— No! no! chodźcież WMość ze mną.

— Nigdy się człek wyspać nie może, gderał schodząc nazad Dozorca dawszy rozkazy służbie, nigdy się wyspać na tym przeklętym obowiązku, nigdy pokoju. Czy noc czy dzień, biegaj z kluczami od wrót do wrót, od izby do izby. Temu drew, temu jadła, temu ławki, temu stoła. To trzeba na starość głowę stracić.

— Aleć niedarmo Pan Starosta, ozwał

się któryś z młodszych, obrał Jegomości na ten obowiązek, znacieście go spełniać najzdolniejszy, choć i trudny i nudny. A u Panów naszych zasługa niestracona.

— Łaska pańska na pstryu koniu jeździ, odpowiedział Burczak wlokąc się po wscho-
dach, po których w ciemności podskakiwali
potykając się podróżni. Ot siwe już włosy,
a jeszcze klucze noszę i jak wrótny pracuję.
Jeszcze u stryja Pana Starosty miałem zasłu-
gi, a wszystko czém było, tém i jestem. Oj
życie, Mosanie, życie!

— Cóż chcecie, rzekł jeden, każdy ma
swego mola co go gryzie.

— I dalipan nie każdy, odmruknął Bur-
czak prowadząc ciągle podróżnych. A ci pa-
nowie nasi, jak i Pan Starosta nie przymie-
rzając, to sobie sami tych molów naprowa-
dzają. Ot i teraz! Tać to jak do wojny idzie!

— Niechybnie do wojny — rzekł P. Bar-
berjusz.

— No! a na co to wszystko?

— Co tam nam w to wchodzić Panie Bur-
czak!

Dozorca minął, a tym czasem zeszli w podwórzec znown i on powiódł ich ścieżką ku galerji drugiej, a galerją ku swojej izbie, w której widzieliśmy światło, widne z okna od ulicy. Tu wszedłszy uczuli podróżni nasi ciepło i rozbiierać się poczęli. Izba P. Dozorey niedaleko wrót od Sawieczj ulicy położona, była wielka, z oknami na tyły dającymi; wielka bo części w niej goście konieczną czynili obszerność. Sklepią była, nie wysoka. Jedno okno z niej wychodziło w ulicę, drugie z boku, mimo prawa w cudzy podwórzec. Było wprawdzie mniejsze, kraciastsze, ale zawsze w cudzą kamienicę patrzyło. Milezał jednak sąsiad, dla tego zapewne, że wychodziło z palacu Chodkiewiczowskiego. W kącie izby stało łóżko P. Burczaka, a raczej tapezan, skórą tylko wyszarzaną niedzwiedzią pokryty, nad którym wisiał krucyfiks w świeczone ziolo ubrany, gronowica złota, wstążką związana, obrazek patrona jaszkrawy, palna Kwieciowej Niedzieli i szabla na kawałku makaty goździami przybitym połyskująca. Proste ławy otaczały izbę, pro-

sty stół dębowy stał wpośrodku, na nim kilka próżnych dzbanów i kubków cynowych. Na stoliku w ogromnym mosiężnym lichtarzu paliła się świeca żółta woskowa, w kominie dogorywał ogień czerwony.

Podróżni rzucili się ogrzewać, i opończe z siebie zwlekać zaczęli. P. Barberjusz czyli Guillaume Barbier na ich czele, był to mężczyzna wysoki, chudy, blady, cery żółtawej, oczu, brwi i włosów ciemnych. Nosił długie włosów pukle, wąs dorodny i bródkę ostro zakończoną, która się kończyła na białej kręcie, podróżą zbrukaną i zmiętą. Strój jego nie był polski, miał kaftan sukieny, spodnie skórzane, bóty z ostrogami w pół łytki wywrócone, kapelusz z piórami, i rękawice łosiowe długie po łokieć prawie. Mi-
na jego okazywała mężnego i mało o co dbającego wojaka, który wszystko wesolo znosi i z wszystkiego się śmieje, lubi winko, umizgi, pogadankę, a nie lęka się niebezpieczeństwa i nie zna namiętności głęboko ludziom dojmujących, wywracających życie z korzeniem. Zrzuciwszy płaszcz poszedł do komi-

na i zatarłszy ręce zaczął się grzać u węgla, sadzając nogi w żar prawie.

Dwaj jego towarzysze Polacy, byli to młodzi ludzie dobrej miny, oba ubrani w kuntusze i żupany, przy pałaszach, wygolone mieli czupryny, wąsy zawiesiste. Twarze ich mimo jednakićj powierzchowności na oko, jednakiego, jeśli wolno powiedzieć, stroju, różnego wcale były wyrazu. Młodszego czoło było wysokie, oczy niebieskie, nos rzymski, wąs biały prawie, czupryna w górę, spójrzenie śmiałe, drwiące. Drugiego czoło niskie, oko zapadłe i szare, nos niekształtny, usta szerokie, wargi grube, suknia na nim jak worek na kołku. Pierwszy zwał się Pan Sumiński, drugi P. Brożek. Oba byli dworzanami Pana Starosty i pomocnikami P. Barbera.

— A daszże nam co pić, albo i przekąsić? Rzekł Barberjusz do mruczącego zawsze P. Burczaka.

— O tój porze! A toż wszyscy śpią! Zkądże tu co WMości wziąć?

— Jużciż nie chcesz, żebym Panu Staroście

się skarżył, żeście mnie tu głodem morzyli, rzekł P. Barbier.

— A to do mnie nie należy, odpowiedział Burczak machając ręką, skarżcie WMość P. Marszałka Dworu, który już śpi na drugi bok, i pewnie się go nie dobudzicie, chyba jutro rano jak sam jeść zechce.

— Ależ panie dacie nam co jeść? spytał Sumiński grzecznie, musicie tu mieć zapasik w szafce?

— I nie wypieram się, że mam i że dam, rzekł Burczak, ale jeśli dam, to nie z obowiązku uważajcie WMość, ale *proprio motu*, z łaski i dobrej woli.

— My, odpowiedział śmiejąc się Sumiński, jedną tylko mamy gębę i jeden żołądek każdy, a wszystko to nam jedno, czy one się napełnią z obowiązku, czy z łaski.

— Ale to post, Panowie.

— Cóż WMość masz w téj Almarji, spytał Barberjusz podkładając ogień.

— Co! Hm! troszkę smażonej rybki w oleju, trochę grzaneczek z czosnkiem, dzbanusio piwka.



— No cóż robić, dobre i to—! odpowiedzieli podróżni. Jeśli wasza łaska dajcie nam tam co macie.

— I usiedli za stół, a P. Burczak z kluczami poszedł do szafy i wydobywać zaczął jadło, schowane na cynowych misach; które sam zastawiał przed przybyłymi.

Jakkolwiek mało to było, jedli jednak zapalczywie, bo byli głodni; i P. Burczak zabierał się im do piwa dopomódz, gdy w bramę stukać znowu zaczęto, a z podwórza dał się słyszeć głos.

— Hej! Jest tam kto! hej! otwierajcie! a otworzycie czy nie!

— A toż co znowu, krzyknął Dozorca biegnąc do okna. Czy nasłanie jakie, czy już Radziwiłłowie szturm do nas przypuszczają. Któż to znowu.— Wyjrzał i nie mówiąc, zbiegł po wschodach, a podróżni usłyszeli po chwili znowu skrzyp wrzeczadźców i tentniące kopyta w brukowanym dziedzińcu.

— Kto to być może? rzekł Barberjusz.

— Zapytamy się gdy powróci Dozorca. Gdy tych słów domawiają, otworzyły się drzwi

izby, i wszedł ktoś wysokięj postawy, ze szpadą u boku, ubrany po prostu, podpasany pasem rzemiennym nabijanym srebrem, w bótach wywracanych, w płaszczu ciemnym, cały osypany śniegiem.

— Już, rzekł do niego Dozorca, żadnej izby wolnej niema, chyba WMość staniecie z Panem Barberjuszem.

— Wszystko mi to jedno gdzie stanę, odpowiedział z cudzoziemska przyjezdny, przywykłem często stać na dworze!

Wlepili w niego oczy wszyscy wprzód przybyli, a P. Barberjusz posunął się ku niemu.

— Jak się macie Panie Stanisławie! Cóż to? tak prędko z podróży!

— A to wy P. Barbier! miło mi was oglądać. Nie tak że to prędko.

— Cóż was tu sprowadza?

— Co? rozkaz Pana Starosty, który mnie wyprawił, a teraz nazad pozwala dla jakiegoś potrzeby.

— A! rzekł Barberjusz, rozumiem—Wasze tu po to co i my. A dalekożeś był?

— Jużem był rozpoczął podróż po za granicą, dla widzenia celniejszych fortec i twierdz, gdy niedaleko Wiednia Austrjackiego odebrałem list Pana Starosty przywołujący mnie tu znowu, i obiecujący, że gdy tylko potrzeba ona minie do której mnie wzywa, wysle mnie znowu. A kazał mi śpieszyć i śpieszyłem dobrze, prawie nie śpiąc i nie spoczywając.

— Więc obaśmy tu dla jednego, rzekł Barber, pewnie tak!

— A cóż to jest P. Wilhelmie?

— Alboż nie wiesz?

— Nic a nie? wojna jaka? wyprawa daleka! Nieprzyjaciół wkroczył?

— Najdziwniejsza rzecz jak być może—Ale nie teraz czas i miejsce opowiadać ci, o co idzie—Siadaj no i jedz tym czasem.

Zaproszony bez ceremonji siadł do stołu.

W milczeniu posilali się podróżni, Pan Burczak tym czasem chodził mrucząc po izbie i porządkując niby rozrzucone sprzęty. Po chwili którą zajął brzęk nożów i mis, ozwał się pierwszy Pan Stanisław do Barberjusza.

— Ciekawość piecze mnie jak ogień, powiedziec mi z łaski swój kiedy wiecie, po co tu mnie wezwano; bo zaiste ze wszystkiego miarkuję, że to coś ważnego być musi.

— Ważnego i bardzo, odpowiedział Francuz. Ale o tém jakbyśmy zaczęli prawić, to byśmy i do jutra nie skończyli, a noe już późna. Jednakże sądzę żeście i po drodze słyszeć coś o tém musieli. Nie już ci nic a nic w uszy nie wpadło?

— Ale to właśnie, jak mówicie; nic a nie, odpowiedział Stanisław żwawo. Wiadomo Waszmości, że Pan Starosta mój łaskawy opiekun, chcąc mnie na ludzi wyprowadzić, wysłał mnie swoim kosztem za granicę, abym się po krajach i dworach eudzociemskich sztuki wojennój wyuczał i świata zobaczył. Wyjechałem więc, aliści niespodziana nie odbieram wezwanie, ażebym nazad śpieszył, a resztę podróży do dalszego czasu odłożył, gdyż jestem doma potrzebny. Kazał mi jeszcze Pan Starosta starać się ludzi, werbować po drodze w służbę wojenną. Z nicmałym żalem rozstałem się z podróżą, izwinawszy tłumoczki,

nazad do kraju pośpieszyłem. W liście swym P. Starosta śpieszyć mi kazał, i tak też pędziłem, żem po drodze nikogo nie miał czasu wypytować i nie się nie dowiedziałem. Widzę jednak ze wszystkiego, że czy nie druga wołoska wyprawa się sposobi.

— A gdzie zaś wołoska! odpowiedział Barberjusz, gorzej niż to, dziwniej, więcej, bo wojna domowa!

— No! a z kimże? w Inflanciech?

— W Inflanciech! Nie by to jeszcze nie było, rzekł znowu Barberjusz, ale mówię WMości, że wojna domowa. Poczekaj że; opowiem ja ci to wszystko, czegom świadom, bo widzę że WMość jesteś, mówiąc po waszemu, jak w rogu i nie nie wiesz co się dzieje. Lecz przecieżś wprzód w kraju siedział?

— Pókim był w kraju, obce sprawy nie mnie nie zajmowały, rzekł P. Stanisław. I nie dziw: siedziałem na Jezuickich ławach, słuchając Mathescos, Retoryki i Filozofji, potém się tulał po obozach; kędy gdzie strzelano, tam i ja prochu wachał, a co ludzie gadali mimo uszu puszczałem.

— Trzeba tedy WMości *ab ovo* rzecz całą opowiedzieć, rzekł kiwając głową Barberjusz. Ale widzę że P. Burczak oczy klei, czas by nam do swojej izby. Pójdź no zobacz Panie Brożek co się tam dzieje.

P. Brożek zerwał się od dzbanka z którego męty i ostatki piwa zcedzał i poszedł obaczyć. Tym czasem Burczak pozabierał misy, dzban i kubki, w szafie je poustawiał i dobywszy różańca, zabierał się modlić.

— Wyraźnie nas WMość wypraszasz, rzekł do niego Barberjusz.

— Boć i dawno czas już spać, rzekł stary.

Wtém wszedł Brożek i machnął ręką.

— Ani myśleć tam iść, rzekł prędko, kaci wiedzą po co; rozpalili ognia w piecu stróże i swąd zabijacki wziął się w izbach, żeby tam i koń nietylko człowiek nie wytrzymał. Nawet służba się na wschody obozować wyniosła.

— A cóż będzie? gdzie będziemy spać? zawołał Barbier.

— Gdzie sobie chcecie! odpowiedział Burczak.

— Toż nas już ztąd nie wypędzisz? dodał znowu Francuz.

P. Bureczak nie odpowiedział.

— Żebyśmy jeszcze mieli choć dzban albo flachę wina, lub miodu Rowieńskiego, starego wreście, to by się jakoś ta noc przebyła, rzekł Francuz, ale taka już późna noc, a jeszcze taka długa!

— Niech Jegomość Pana Bureczaka poprosi, rzekł zcicha Brożek przysuwając się do ucha, żeby nam bramę otworzył. Wiém ja tu, hom swój ik, gdzie niedaleko wino sprzedają, to pójdę ze dzbanem.

— Ależ dawno już być muszą pozamykane gospody i szynki.

— Nic to, otworzą mi oni, pewnie jeszcze nie śpią, rzekł Brożek, bo choć z Ratusza wydzwonią gaszenie ogniów, toć przecie wszędy się ogień pali.

— Jeszcze kto WMości obedrze na ulicy, pełno o tój porze hultajów się włóczy.

— O! nie bójcie się WMość, a tylko poproście P. Bureczaka i zaproście go na wino.

Niech mi bramę otworzy, a ja dalipan wina znajdę.

— Wiecie co P. Burczak, ozwał się głośniej Barbier, pokazuje się że my tu nie będziemy mieli ani gdzie, ani jak zasnąć, a wypadnie całą noc przesiedzieć. Pozwólcie niechaj Brożek pójdzie nam dzban wina przyniesie, to się z nami pospołu napijecie. Tylko mu dajcie klucza od bramy.

— Co? co? spytał stary — wina przyniesie?

— Przyniesie, powtórzył Barbier.

— A zładze on go weźmie o tój porze?

— Spuście się W Mość na mnic, rzekł Brożek, natoczę pewnie najlepszego, od Malchera, z pod wiechy.

— U Malchera wcześniej zamykają.

— Już ja sobie otworzę, a W Mość tylko daj mi od bramy klucza.

Stary poszukał na stoliku i wybrał jeden klucz z pęka, któren odwiązał z rzemyka.

— Idźcie Waszmość, rzekł, na wrota od Zamkowej ulicy, jest tam na lewo furtka podle Bramy, naprzeciw sklepu Malchera, to

tylko przeskoczycie ulicę i będziecie pod progiem. A tylko proszę was, zamykajcie za sobą, bo by się tu jeszcze kto wkradł, i na mnie by bięda była.

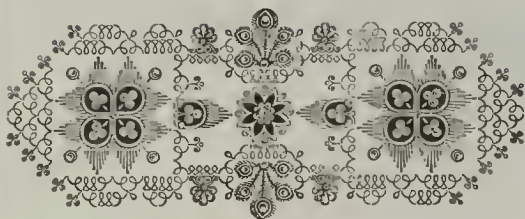
— Bądźcie WMość zupełnie spokojni, rzekł Brożek. Dajcież mi pieniędzy Półkowniku, odezwał się do Barberjusza, a WMość dzban-ka pożyczcie, P. Burczak. To mówiąc poły pozakładał za pas, czapkę nasunął na uszy i skinieniem głowy pozdrowiwszy Sumińskiego, drzwi za sobą zatrzasnął.



III.

Dzban Wina.






III.

D z b a n W i n a.



—  AWNOŻEM już po nocy ulic Wileń-
skich nie widział, rzekł do sie-
bie wychodząc i po wschodach się tocząc
w dziedziniec P. Brożek, aleć i niewiele ich

zobaczę, jeśli tylko do Malchera pójde co przez ulicę mieszka! Dobrze i to.

Znalazł się w dziedzińcu, a przeszedłszy go w szérz do bramy w zagłębieniu muru od ulicy Wielkiej umieszczonej, namacał po ciemku furtkę, odrzucił zaporę poprzeczną i spróbował klucza do zamka, który mu zaraz przyszedł, poczem wycisnąwszy się na ulicę, drzwi za sobą zatrzasnął, a spróbował ich jeszcze, obejrzał się dopiero na okna P. Malchera, tuż naprzeciw będące.

— Cóż za licho ! wszakci ciemno u niego rzekł nie widząc światła, czyby się odzwyczaił pijaków długo w noc utrzymywać? Ale nie! To oni dla przyzwoitości od tyłu siedzieć muszą—Tak mówiąc skoczył do wrót kamienicy; przyłożył ucha i stuknął nogą raz, drugi i trzeci.

— Hej! hej! jest tam kto otwórzcie!
Ale nikt nie odpowiedział.

— Muszą odprawiać adwentowe rekolekcje, pomyślał sobie, ale przecież się ich dobudzę. I jął znowu stukać i znowu napróżno.

— A to coś osobliwszego, rzekł po chwili, na licha osobliwszego! nu! nu!

W tém szelesnęło coś podłe niego; P. Brożek który się był cały w bramę wcisnął, odwrócił się.

Po za nim stali dwaj jacyś ludzie i patrzali na niego szepeąc—dostrzegł ich łatwo Brożek i zaraz odwróciwszy się nie tracąc fantazji, rzekł.

— Ho! JMość Panowie! czy nie moglibyście mi powiedzieć, co się Malcherowi stało, że się go dobudzić nie można?

Ichmość nie nie odpowiedzieli, lecz znowu szeptali między sobą.

Mając na nich jakieś podejrzenie P. Brożek, że go chcą obcedzić, nie sądził rozumném dłużej do wrót stukać, żeby go z tyłu nie pochwycili, odszedł więc od bramy i poszedł dalej, z nienacka oglądając się po za siebie. Ci dwaj, których widział wprzód, zdaleka i powolnie pociągnęli się za nim. To go zastanowiło, ale jeszcze nie stracił odwagi i śmiało posunął się ulicą ku Ratuszowi, gdzie się spo-

dziewał łatwiej dostukać pod jaką wiechę i wina kupić.

Ulice puste już były, śnieg pruszył i stróże tylko nocni wołali zdaleka, a gdzieś w oddaleniu dzwonki chorów klasztornych cicho brzęczały. Nikogo dokoła, nigdzie światła w oknach.

— Musi to być później, aniżeli mi się zdawało, rzekł P. Brożek w sobie—ale mniejsza o to, taki też nie powrócę z próżnemi rękoma.

To mówiąc zawrócił się w prawo ku Piacionce i obejrzawszy się w górę na kamienicę, której facjata wychylona na rynek z gankiem, powiewała wiechą opruszoną śniegiem, pośpieszył do wrót. Nad spodzianie usłyszał tu głośne rozmowy pijackiej biesiady, znajomy sobie głos, brzękanie kubkami, dzwonienie szklanek.

— Dobra nasza! rzekł, a tuć albo nigdzie wina dostanę!

To mówiąc stuknął we wrota raz i drugi wołając.

— Poczywi ludzie, otwórzcie mi tam proszę.

Tylko co tych słów domawiał, aliści znowu postrzegł za sobą owych dwóch, niedaleko stojących, jakby czatowali na co.

— I Ichmość do gospody? spytał kłaniając się im trochę.

Jeden z nich odpowiedział.

— I my? a WMość tu po co?

— Chcę sobie wińska dostać—odpowiedział Brożek.

— Nie dostukasz się, rzekł drugi zbliżając się nieco, chyba my ci pomożem.

— Dam ja i sam rady, odpowiedział Brożek.

— O nie! mówił dalej ten co wprzód nieznamy. Teraz byś i do dnia stukał, nikt ci nie otworzy, ale poczekaj no, niech no ja ci pomogę.

To mówiąc obcy poszedł minawszy wrota do okiennicy, przez którą szczeliny świeciło się, i wsunawszy rękę w wycięte serce w środku, trzy razy w szybę zapukał.

— A kto tam, zapytał głos ze środka.

— Swój, od Kardynałji—otwórzcie z ulicy.

— Zaraz—I słysząc było chodzenie, stapa-

nic, brzęk kluczków, aż wreszcie podniesiono draga, furtka się uchyliła i wszedł P. Brożek naprzód dziękując wielce nieznajomym, za nim owi dwaj się zaraz wsunęli.

— Niechże W Mościom za tę usługę podziękuję, rzekł, bo widzę żebym był darmo zbiegał całe miasto i zębami dzwonił pod wrotami.

— Niéma za co dziękować, odrzekł krótko jeden z nich.

Na lewo od wrót w murze grubym otwarły się drzwiczki, buchnęło z nich światło i ciepłe powietrze przesyczone trunkami i jadłem. P. Brożek wszedł do sklepionej długiej a wąskiej izby, przez którą był stół bejcowany na czerwono, ostawiony ławami, zakryty obruskiem grubym a poplamionym. W pośrodku stoła paliły się świece w ciężkich mosiężnych lichtarzach przygasające. Na obrusie walały się okruchy kości, chleba, jadła wszelakiego, stały jeszcze cynowe miski próżne, dzbanki polewane i kubki cynowe i szklane. Za stołem siedziało dwóch tylko, ale tego pijanych, ludzi podżyłych, którzy przez stół do siebie się pochyliwszy tręcali kubkami wołając:

— Przezdrowie Waszecie! i Waściniej żony Pani Katryny i Waściniej godnej dziewczki Nastazji i Waściniego domku całego. Co daj Boże!

Byli to mieszezanie w różowych humorach.

Od ulicy, u okna, przy stoliczku spał oparty jeszcze jeden pijak, z czapką na uszach, którego tylko z pod ręki, na której się opierał, długie konopiaty-szafraniejące wąsy widać było. Ten który furtkę otwierał gospodarz, był to człek krępy, rumiany, niski, w ponczochach welnianych niebieskich, w szlafmocy na łbie łysym, w kaftanie welnianym rozpuszczonym niedbale, z czerwoną twarzą i nosem jaśniejącym purpurowemi barwy. Była jeszcze jedna osoba w izbie, dziewczka brudna jak śmiećisko, stworzenie chude i brzydkie, wyżółkle, odarte, rozesparte, która waleśając się od kąta do kąta, zbierała miski, kubki, talerze, łyżki i wynosiła je do drugiej izby mrucząc i ziewając.

Ci dwaj, na których się zaraz, do światła dobrawszy, obejrzał P. Brożek, byli to ludzie gęstiej miny, uczciwie ubrani i nie wyglądający

wcale na takich, za jakich wziął ich po nocy, hultajów. To też Pan Brożek, nie w ciemię go bito, grzecznie się im i ludzko skłonił, mówiąc.

— Ale to tu garkuchnia widzę—to może ja sobie wińska nie dostanę.

— Wina nie dostanę! podchwycił gospodarz rękę z kluczami podnosząc, Wina nie dostanę! Otóż tobie masz! Alboż to Waszec nie znasz garkuchni nowéj P. Stypejki, mieszczanina i kupca miasta Wileńskiego? Dostaniesz Waszność choćby i najprzedniejszego Kanaru! a wiele tam WMości dać?

— Ot, ten dzban. I to mówiąc P. Brożek wysunął z po za siebie dzbanisko dwugarncewe, na które głową kiwnął gospodarz.

— Chodźcie WMość za mną, rzekł, a macie czém zapłacić?

Brożek otworzył dłoń lewą i pokazał talar bity.

— Proszę za mną, dodał gospodarz — porwał lichtarz z przed pijaków i szasnął się jak opętany w głąb izby, ku drzwiom do komory wiodącym.

Poszedł za nim P. Brożek, a dwaj Lechmoś
zostali w pierwszej izbie.

Gospodarz wwiódł go naprzód do ciemnej komory, w której był niepospolity nieład, jak to widzieć było można przy blasku dogorywającej u ściany świeczki. Stały tu bałje, kociołki, beczki próżne, butle wielkie, misy, wisiały obrusy, wałały się miotły, a na kupie bielizny i różnego rodzaju ruchomości, włócząca się tylko co służą, zakrywając twarz fartuchem, wyciągnięta, chrapała. Złąd wyszli z gospodarzem do sionek.

Za pozwoleniem WMości, rzekł P. Stypejko, pójdę tylko wezmę klucze od piwnicy.

— Ale się WMoś na miły Bóg nie baw, a mnie tu po ciemku nie zostawiaj.

— Ja WMości świecę porzucę, rzekł gospodarz, i pośpieszył na lewo do drzwi, które na wpół szklane były i przez które widzieć było można, przy świetle wewnątrz palącej się lampy przed obrazem N. Panny, porządniejszą izbę, a kotarę za firankami w kwiaty i różny sprzęt i ochędóstwo kobiące, pozawieszane i porozrzucane w nieładzie.

Gdy drzwi otworzył gospodarz, słychać było chwilę gadanie, brzęk kluczy, potem wyszedł P. Stypejko wzięwszy już na się kubrak zielony i odebrawszy lichtarz z rąk P. Brożka, powiodł go korytarzem dalej w głąb, ku drzwiom piwnicznemu.

Gdy P. Brożek czeka na wino, my powróćmy do pierwszej izby, w której dwaj nieznajomi zostali.

Byli to, jakśmy rzekli, ludzie młodzi niezowie ubrani, i jak widać było po ruchu i minie, zapewne pana jakiegoś domownicy, dworzanie, bo jednostajną, ciemną mieli barwę, którą kryli dostatniemi oponczami oba. Zdjęli oni czapki z głowy i usiedli pod oknami od ulicy, na ławce, przeciw śpiącego mieszczanina.

—No cóż myślisz, rzekł jeden, mamyż co przedsięwziąć?

—Śliska to rzecz, odpowiedział drugi, trzeba by się nad tém wprzód zastanowić.

—Ale póki my się zastanawiać będziem, tym czasem nam ten chłopiec uciecze. No! jak ci się zdaje?

— On ma klucz od furtki, rzekł drugi, a nam by się on przydał. Wojewodzie dobrze by zapłacił zań, mybyśmy z nim do Chodkiewiczowskiej kamienicy łatwiejszy przystęp mieli i komunikację z pannami służebnemi więźnej młodej, które choćby co i chciały dopomódz, to nie mogą, bo ich za się strzega pilnie.

— Ale jakże tego klucza dostać, rzekł drugi.

— Jużciż, kończył tamten, ja nie mówię ani radzę, aby go gwałtem wyłziierać, ale czy nie byłoby jakiego sposobu lekkiego na tego młokosa?

— Jakiegoż myślicie?

— Nie inny, tylko by go myślę dobrze spoić, rzekł pierwszy znowu, odkraść mu go i wy-cisnąć—Słyszałem, że tak kluczków dobiérają złodzieje.

— A śliczny by na nas pozór był— odpowiedział drugi; na Boga, a toć by to szubienicą pachło!

— A ktoby nam tego dowiódł? A potem, alboż my to dla złego robim?

— I klucz, jak myślę, nie na wiele by się co przydał, boć oni, jak wszędzie, dragiem jeszcze z tamtęj strony drzwi zakładają. Możeby się znalazł ktoby nam drąga otworzył, byle klucz od furtki był.

— Prawda i to.

— Obaczym no jak powróci ten młokos, czy go spoić można, możebyśmy się od niego dowiedzieli co jeszcze, Panie Adamie.

Gdy tych słów domawiają, wszedł do izby zachylając drzwi połą Brożek, i miał się ku drzwiom drugim, gdy jeden z nieznanym go zaczepił.

— WMość, jak widzę, niesiecie kędys wino? a niecheielizbyście skosztować go z nami kubeczek?

— Dziękuję WMościom za uciechę, odpowiedział kłaniając się Brożek, któremu ślinka po brodzie ciekła na wspomnienie kubła; radbym z niemi pił, ale nié mam czasu, bo tam na mnie w Chodkiewiczowskiéj kamienicy czekają.

— Co tam, chwilka, rzekł piérwszy gospodarzowi znak dając, aby przynióstł i my czasu

nie mamy także długo tu siedzieć, bosmy wysłani podobnie i powracać potrzeba, ale na ten chłód trudno żeby sobie człowiek choć kubeczkiem nie rozgrzał żołądka.

—No, no, jak już WMość chcecie, odpowiedział Brożek siadając, a dzban pod stołem stawiając, to się i napijmy. Powiem P. Barberjuszowi, że długo musiał się włóczyć, za nim wina dostałem—Niechże sobie czekają.

—Ale, rzekł po chwili, teraz WMościów lepiej przy świetle widzę, aliście mnie tego przed Malcherem napędzili strachu; bałem się, by nie jacy, z przeproszeniem, bultaje, co ich o tej porze pełne ulice.

To prawda że się teraz około północy, nie warto z domu wychylać, podchwycił drugi nieznajomy, ale rzadko się trafi, żeby na przedniejszej ulicy kogo napadli z podle Ratusza, gdzie straż pilne ma oko—Prędzej pałką w łeb dostanie na ubocznych zaułkach.

Wtém podał gospodarz flaszę i trzy kubki. Starszy nieznajomy przepił pełną do Brożka, który mu podobnie odpowiedział, a ocierając gęby, szepnął

— Tęgie jakieś wino, boję się, żeby mi głowy nie zamęciło. -

— Slabiuteńkie, jakim Stypejko! przerwał gospodarz, można go pić gdyby wodę! Tak to ono sobie piecze, ale to uczciwie żołądkowe, do głowy nie idzie.

— A no, na drugą nogę, rzekł nieznajomy i przepił.

P. Brożek mu znów odpowiedział.

— A no, do Trójcy, rzekł śmiejąc się drugi.

Na te słowa pobladł P. Brożek, jakby go wąż herctyka zalcciał i rzekł:

— Co to WMość o Trójcy Najświętszej przy kubku spominacie, alboście to, z przeproszeniem, z konfederacji.

— Nic—nic—rzekł poglądając na towarzysza nieznajomy—nie—nie—Tak się to wysliznęło z gorącości. Znacie WMość przysłowie. *Omne trinum perfectum*.

I przepili znowu do siebie, kłaniając się jeden drugiemu. Wtém zaczął starszy.

— Toście to WMość z Chodkiewiczowskięj kamienicy?

— A tak, odpowiedział Brożek, przybyłem tu ono co dziś z P. Barberjuszem, który tu będzie fortecę w kamienicy robił, czy coś.

— Toż to po co? rzekł dragi.

— Kto to wie! mruzczał Brożek, na kogo to się Pan Starosta gotuje.

Niecznajomi spojrzeli po sobie, Brożek obracał oczyma na wszystkie strony i przecierał je ręką, czując że mu wino po głowie chodzić zaczynało.

— Toście W Mość dziś przybyli. Aleć tam ktoś więcej jeszcze pono?

— A! to P. Stanisław przybył z zagranicy P. Barberjuszowi pomagać około téj roboty.

— Co to za Stanisław?

— Wychowanek P. Starosty, którego na wojaka sposobi, i posyłał go był uczyć się za granicę téj tam mądrości obozowej.

Brożek mówił á czuł że go coś jakby siatką zawiesiło, i ujawszy za dzban stojący pod ławą, począł wstawać powoli.

— Trzeba mi powracać, boć się coś zdaje, jak gdybym się upił.

— Tak to się tylko zdaje, rzekł nieznajomy; jeszcze musim dopary wypić po kubeczku. I znowu przepił, a gdy to uczynił i P. Brożek przez ucziwość trzymał się na nogach jak mógł, czekając aż mu pełną podadzą; drugi się przysunął do niego, lekko rękę w kieszeń jego puścił, dobył klucza od furtki, odwrócił się żwawo i wybiegł do komory.

— Co to WMości? rzekł odwracając się Brożek?

— Krew mi się nosem puściła, odpowiedział wychodzący i poszedł do alkierza. Tym czasem drugi zabawiał Brożka jak mógł, przepijając do niego póki w flaszy stało, a choć posłany niby to kwapil się nazad i lękał się niezmiernie upicia, jednak na widok kubka, różne sobie czynił reflexje i perswazje, zawsze wiodące do spełnienia go. Tak perswadując i dodając sobie ducha a odwagi, dobrze podpil. Wyszedł po chwilce z alkierza ocierając nosa towarzysza, i ściskając a żegnając Brożka, nazad mu klucz wcisnął w kieszeń.

— Jeśli będziecie mieli czas wybiedz ju-

tro, rzekł do niego, przyjdźcie do Malchera, to się znowu razem trochę napijem.

— Z całego serca, odpowiedział rozczułony Brożek zataczając się i wylewając wino ze dzbana, który niósł pod połą. Aliscie mnie Panowie tak spoili, że teraz nie wiem już, jak nazad do Chodkiewiczowskiej kamienicy trafię, choć to nie pierszyna mi po ulicach po nocy się włożyć.

— My w jedną idziem z Wami drogę, rzekli nieznajomi—Chodź nam otwórz Panie Stypejko. Wyszli więc do wrót, które im gospodarz odemknął żegnając ich. Znaleźli się znowu w ulicy.

Tu obejrzawszy się a świeżem powietrzem odetchnawszy Brożek, uczuł dopiero cały zamęt, jaki w głowie jego panował i zdało mu się jakby wszystko kręciło się i szumiało wkoło niego. Ledwie przed sobą rozpoznać mógł Ratusz na prawo, i kierując się od niego, poszedł w lewo ku Zamkowi nazad. Dwaj towarzysze pytali go jeszcze o wiele rzeczy po drodze, na które on, o ile mu przytomność umysłu dozwalała, odpowiadał, nie zastana-

wiając się weale nad tém, dla czego tak pilnie go wybadywano, i jaki w tém mieli interes nieznajomi, którzy ze swojej strony nie powiedzieli mu nawet co byli za jedni. Narazie żegnając się z nim pokazali mu furtkę, a poseł nasz z wielką trudnością odemknął ją i zamknął nazad; droga już założyć nie mógł. Błądził potem po całym dziedzińcu, nim trafił na schodki wiodące do mieszkania P. Burczaka, i gdy drzwi jego otworzył, zastał P. Barbier chodzącego po izbie, Dozorcę w największej niespokojności o powierzony klucz, a P. Stanisława śpiącego nad stołem.

Wszedł raźnie i jak mógł na nogach się utrzymywał, stawiając dzban w pośrodku stoła; P. Barbier jednak postrzegł zmianę w jego twarzy i domyślił się części przygód.

—Jużes ty sobie zalał w czubek—Brożku, rzekł.

—Kto? ja? odpowiedział niezmiészany, ja? A to czysta napaść, bo prócz śniegu, nie nie miałem w głowie.

—Dawaj klucz, gdzie klucz! przerwał Burczak—coś się tak długo bawił?

— Co? wszystko było pozamykano — mało mnie hultaje nie odarli, ledwo żywy wróciłem.

— Alboż cię kto napastował?

— I jak napastowali, odpowiedział Brożek oddając resztę pieniędzy szelągkami fałszywymi, ledwiem się wywinął.

To mówiąc, odstał od stołu i okrutnie się zatoczył.

— O! i tak się zataczasz! zawołał Barbier.

— B. mnie któryś w głowę czekaniem palnął.

— Gdzie? gdzie? pokaż! pochwycili wszyscy razem biegnąc ku niemu, aż się i Stanisław ocknął i obejrzał.

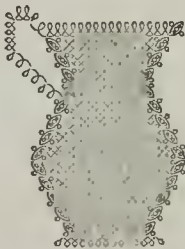
— Jest wino, rzekł do niego P. Barbier, ale nasz nieszczęśliwy posel po łbie za to oberwał!

I szukali wszysej po głowie, ale P. Brożek zaskaniając się i udając że go mocno boli, umknął do drugiej izby, podał sobie płaszcza i położył się na nim spać—Tym czasem dobyto kubki, zaproszono P. Burezaka, który różaniec złożył i obojętniejszy za stół siadł.

— Mielście mi W Mość powiedzieć, odezwał się P. Stanisław, co się tu u was dzieje, i co to za wojna domowa ma się rozpocząć. Otoż przypominam obietnice, bo wiuo język rozwiąże i ochoty do gawędy doda.

— A i ja, rzekł z ciekawości Bureczak, nie jedno wiem i dorzucić mogę, kiedyście ciekawi.

Barbier, jako fundator wina, piérwszy nalal kubek, i przepił do Burezaka, Bureczak do P. Stanisława, w kolój znown do P. Sumińskiego, po czém zasiedli każdy nad pełnym kubkiem i poczęła się następująca rozmowa.



IV.

Radziwiłłowie i Chodkiewiczze.





IV.

Radziwiłłowie i Chodkiewiczze.



RZEBA W Mości wiedziéć, rzekł P. Barbier smakując wina, że nasz P. Starosta i cała familja Chodkiewiczowska spokrewniona z Radziwiłłami nie od dzisiaj;

choć i przeto nie w najlepszej z nich zgodzie.

— Tak, tak, przerwał Bureczak, zrosłem ja i schowałem się w tym domu, to najlepiej wiem wszystkie ich kolligacje. Bo naprzód stryj JMPana Starosty nieboszczyk Jerzy Starosta Żmudzki miał za sobą Wojewodziankę Nowogrodzką Radziwillównę, a rodził się sam z Xiężną Olelkowiczówną Shuckiej, co też go kolligaciło z Radziwillami. On też najchętniejszy był Radziwillom, choć my wszyscy mówili że z tego jakieś лихо wyrośnie, a Orzeł się z gryfem podrapia.

A potrzeba WMości wiedzieć, że Olelkowicze też Radziwillom krewni i Chodkiewiczom.

— I toć to jabłkiem niezgody między nami ci Olelkowicze.

— A więc to z Radziwillami sprawa? spytał P. Stanisław.

— Nie z kim innym, odpowiedział Francuz, ale słuchaj no tylko, wiele się jeszcze rzeczy dowiesz dziwnych.

— Pozwólcie naprzód, abym powiedział

o onych koligacjach, bo bez tego nie nie zrozumie, zawołał Burczak — Otoż mówiłem, że Radziwiłłowie skolligaceni są z Chodkiewiczami, a obie te familje z Olelkowiczami Słuckiemni. A to tak: Nieboszczyk Stryj Pana Starosty terażniejszego Jerzy, także Starosta Żmudzki rodzi się z Zofji Olelkowiczównej Xiężnej Słuckiej; a ta Zofja była siostrą Xięcia Symona, ojea JM Xięcia Jerzego, który jest ojcem Jójmości naszej Zofji Jurjewiczównej Olelkowiczównej Xiężnej Słuckiej — Zatem jasno WM. widziecie, że P. Jerzy był Stryjem naszej Panny. A trzeba wam wiedzieć, że to był Pan pobożny i cnotliwy; świeć Panie duszy jego — Pan Starosta Żmudzki. Lat temu pięć wszysejśmy płakali na jego pogrzebie w Brzostowie, i ja niemalom łez wylał, bo mi bardzo świadczył i zawsze o mnie paniuętał. Ależ to WMość tego jeszcze nie widzisz, jakie tu pokrewieństwo Radziwiłłów z Olelkowiczami, a to ja Wam zaraz powiem. Bo terażniejszy Pan Wojewoda Wileński (Radziwiłł), z którego rodzi się Xiąże Janusz, miał za sobą córkę Xięcia JM. Konstantego

Bazylego Ostrońskiego Wojewody Kijowskiego, która rodzi się z Alexandry Olelkowiczówny Słuckiej. Otoż to pokrewieństwo.

— Ale rozumiem, rzekł P. Barbier, iż cała ta Genealogja nie objaśni weale P. Stanisława, co do terażniejszych waśni, o którychby się rad dowiedzieć; a zatem ja do swego wracam, że Chodkiewicze z Radziwiłłami spokrewnieni, i nie wlepszej przeto zgodzie. Jednakże nieboszczyk Jerzy Starosta Żmudzki, godził się jako tako z teściem swym P. Wojewodą Nowogródzkim, a przez niego skolligaconym będąc i z Xięciem Wojewodą terażniejszym, w jego domu bywał, i dość się dobrém okiem na się patrzali. Tylko za się lepszej przyjaźni między niemi tamę różnica religji kładła; bo JM. Jerzy nieboszczyk Starosta Żmudzki był bardzo pobożny i gorliwy Katolik, a Wojewoda, jak wiadomo, jest heretyk, i z różnowiercami trzyma, i świeżo się do konfederacji pisał z XX. Ostrońskimi i innemi z Rusi Panami. Wszelakoż przystojnie z sobą żyli. Tym czasem, dawno to już, umarł ojciec Xiężnej młodej naszej Zofji Słuc-

kiej, jak wiadomo jeszcze w r. 1585 i powierzył opiekę jej testamentem JM Panu Jerzemu Chodkiewiczowi.

— Ostatnia to dziedziczka, dodał Bureczak tej znacznej familji, która miała swoje miejsce w senacie po JM. Xiędzu Biskupie Wileńskim. I bogate ma wiano, bo Xięztwo Słuckie i Ropylskie.

— Gdy się to dzieje, a Xżna Zofja dostaje się w opiekę Panu Jerzemu Staroście Żmudzkiemu, Radziwiłłowie poczęli koło niego chodzić, myśląc, jakby go sobie zapewnić, żeby X. Zofja i jej dobra, w ich dom weszły. Jakoż poczęli tak dobrze głaskać tego znacznego P. Starostę Żmudzkiego, że w r. 1594, prawie na rok przed jego śmiercią, zapewnili sobie zupełnie X. Zofję dla Xięcia Janusza Radziwiłła, syna Pana Wojewody terazniejszego z Xiężnej Ostrogińskiej splodzonego.

— Jakże się to stać mogło? spytał Pan Stanisław.

— Jak? odpowiedział P. Bureczak nastawiając kufka, oto ja najlepij powiem, bom tego wszystkiego był świadkiem. Działo się

to w Brzostowicy, kędy P. Starosta nieboszczyk przebywał fundowawszy tam wspaniałą kościół i na modlitwie cały czas trawiąc, bo przed śmiercią na kilka lat, dzień w dzień na xiążce kapłańskie godziny odmawiał, a ludzi bardzo mało widywał, tak był w nabożeństwie zatopiony cały. Od kilku już czasów chodziło po głowie Radziwiłłom upewnić się, że będą mieli Xżnę Zofję, która na ówczas (było to w r. 1594) dopiero dziesiątek lat liezyła, prawie dziecko jeszcze. Chodzili więc koło Pana Starosty bardzo, a pochlebiali mu się; boć żaden z Chodkiewiczów o zameżciu z bogatą dziedziczką nie myślał dla blizkiego pokrewieństwa, z którego choćby ich pewnie Papież rozwiązał za prośbą Króla JMości, łaskawego na PP. Chodkiewiczów, ale oni tego nie cheieli, znając w tém niebłogosławieństwo Boże, kiedy jak Żydzi łączą się Chrześcijanie w blizkich stopniach — Otoż tedy. —

— Ale WMość coś bardzo obszernie zaczy-
nasz — rzekł Barbier.

— Nic to, nie, nikt w szyję nie pędzi, a

lepiej trafię do końca, odpowiedział Burczak, bądźcie tylko Jehmość cierpliwi. Otoż, com mówił?

— Że się starali o Xieźnę dla Janusza.

— Ba, tak. Starali się oni i chodzili do brze około P. Starosty, aż P. Starosta, aby się od tego natręctwa uwolnić, słowo swoje szlacheckie dał, że skoro sama Xieźna zechce, doszedłszy lat, wyda ją za Xiecia Janusza. Ale nie dość było tego słowa Panu Wojewodzie Radziwiłłowi, który się chciał upewnić mocno w tém, że syn jego mieć będzie owe Xieztwa Słuckie i Kopylskie. Jakoż, pomnę, byłem naówczas w Brzostowicy i właśnieśmy do kościoła byli poszli na nieszpór wszyscy, a było to, jak dziś pamiętam, w Sobotę przed Niedzielą Przewodną; nadbiegł za nami pacholek ode dworu, oznajmując, iż przybył jurgieltnik konny Xiecia Wojewody, dający znać, że i on zaraz jedzie. Poszedł JMPan Marszałek do ławki Pana Starosty oznajmić o gościu, ale mu Starosta nieboszczyk odpowiedział surowo.— Idź Wasze przyjmuj, a u mnie piérwszy P. Bóg,

niż wszyscy w świecie Xiążęta, ba i Królowie. Jak skończy się nieszpór, to i ja na Zamek wrócę. A tak słuchał do końca nieszpóru Pan Starosta, po czem wróciłszy na Zamek, gdzie już stały kolaty i łonie Pana Wojewody i liczny jego poczet. Powitali się uczciwie i grzecznie i była tam uczta niemała, a i ludzi przyjęto dobrze, bo i bratki wytoczyli dla nich i stół do sztosu stały, a byłoby dzień zastawny, przy którym, jak dziś pomnę, ja sam gospodarzyłem, a chodził Wojewoda z bratkiem. Aż potem posłano ich na dworzec, do P. Wojewoda, po jakies zapisy do Starosty przyjechał.

Był z nim syn młody Xiążę Janusz, uczciwy i hojny i bojne, ale mu się, jak i dziś dumasz, z oczów patrzyła, że do nikogo podobnego słowa nie rzekł, a wszystkich ledwie z diablami posyłał. Byli tam i inni panowie Bratanek Pana Wojewody, Xiążę Starosta Mozyrski i wielu innych przyjaciół. Jak się tam znowu chodzić kolo P. Starosty, a obok tam wielkimi przyjaźni stałej i koligacji ludzi, tak wreszcie nazajutrześmy

się dowiedzieli, że już Xiężna Zofja Xięcin Jannszowi na pisunie przyrzeczona za obligiem.

— Jakto za obligiem? spytał P. Stanisław.

— Bo Pan Starosta dał skrypt Paun Wojewodzie pod zakładem wielkiej summy, że jak Xiężna do lat dojdzie, i sama zechce, mają ją wydać koniecznie za Xięcia Jannsza, a nie to Starosta zapłaci wielki zakład. Ja nie wiem po co to się Starosta tak opisał, ale kiedy zaczęli go tam prosić, a namawiać, a zaklinać na braterską przyjaźń, trudno się im było oprzeć. Potem były jeszcze w Brzostowicy wielkie traktamenta i wiwaty, wiele tam wina wypili, za nim się rozjechali. A P. Starosta rad był, że się ich zbył z domu i kazał po tych heretykach izby czyścić i święcić na nowo, jak po zarażonych.

— Od tej pory, podchwycił Barbier, choć Xiężna była jeszcze dzieckiem, począł do niej jeździć Xiążę Jannsz, a posyłać podarki, aby jej przyjaźń pozyskać sobie; Xiążę Wojewoda też ojciec jego raz w raz o nią się dowiadywał, aż P. Staroście, choć to był cierpli-

wy i enotliwy Pan, nie w smak to poszło takie nadskakiwanie natrętne, i nieraz mawiał. — Oj złem zrobił źle, żem im dał zapisy, ale co ma być to będzie, bo się już stało. A słowo dane, powinno być dotrzymane.

Tym czasem umiera nasz Starosta.

— A! niech mu wieknista światłość świeci, zawolał Burezak wzdychając i podnosząc ręce. Pan to był Pan jakich mało i ludziom i Bogu miły, a żywój duszy nie najdziesz, żeby się na niego kto poskarżył.

— Po jego śmierci, która zaszła w Brzostowicy w Czerwcu 1595 r. temu lat cztery skończyło się tego roku, a piątego już połowa, ruszyli się Panowie Radziwiłłowie mocno, nie wiedząc co sobie począć i jak tu znowu porwane rzeczy powiązać, bo opieką Xiężnej spadła była na brata nieboszczyka Starosty Pana Hieronima Kasztellana Wilcuńskiego, Starostę Brzeskiego; który nie tyle sprzyjał Radziwiłłom, co nieboszczyk. Kasztellan dowiedziawszy się o śmierci brata, pośpieszył wrychle do Brzostowicy, bo na niego z pogrzebem czekano, który nie prędko sprawio-

no, bo żądali PP. Chodkiewicze bardzo wspa-
niale wystąpić i nieboszczyka uczeić. Jakoż
było tam na nim niemało ludzi znacznych
z PP. Senatorów i duchowienstwa i prawiono
mowy; osobliwie zaś Xiądz Brant Jezuita
dziwnie miał piękną, której się wszyscy dzi-
wowali, a podobno i do druku podana zosta-
ła przez Akademię Jezuicką tutejszą. Ale to
było w Październiku, a owo nim jeszcze do
pogrzebu przyszło, to już Panowie Radziwił-
łowie wszkomo dla pogrzebu (choć heretycy
byli), a w istocie dla ponowienia umowy po-
śpieszyli za P. Kasztellancem Wileńskim.

— Byłem ci i ja tam, znówu przerwał Bur-
czak, bośmy około ciała nieboszczyka i Do-
brodzieja naszego płakali jeszcze, czekając
pogrzebu, gdy PP. Radziwiłłowie *in magno*
comitatu Panów zacnych i urzędników za-
jechali na Zamek. Piérwszego dnia nie nie
mówili szanując i żal JMPana Kasztellana i
pamięć Starosty nieboszczyka; ale nazajutrz
jakoś już o zapisach przebąkiwać zaczęło i o
odnowienie ich prosić a naglić, zaklinając na
kolligację i stosunki przyjazne, załawna nie-

przerwane między familjami. Opiérał się w początku P. Rasztellan mówiąc, że dostateczna będzie ta pierwsza z bratem umowa, ale PP. Radziwillowie obstawali przy ponowieniu jój za obligiem, aby byli pewniejsi swego. Zapomniałem W Mościom powiedzieć, że P. Rasztellan Wileński do pierwszej umowy z Radziwillami za pieczętarza się pisał, i to go teraz wiązało, że do nowój przystąpić prawie musiał, gdy na niego ta opieka spadła. Jakoż po długich ceremonjach spisali nowy akt, gdzie Pan Andrzej Jundzill Marszałek J. R. Mości pióro trzymał i wyspecyfikował więcej niż w pierwszym, a to za namową i podżeganiem Xięcia Alexandra Holowczyńskiego Rusina, który wielce domowi Xiążąt Radziwillów sprzyjał i z niemi był przyjechał, a także PP. Jana Tryzny i Strabowskiego Piotra Starosty Trzejdzińskiego. W tym nowym akcie stało, jak powszechna fama niosła, że P. Rasztellan Wileński opisał się oddać Xiężnę młodą, za żonę Xięciu Januszowi, gdy dójdzie lat piętnastu, a to w Wilnie, w tulejszój oto, gdzie siedziemy teraz, ka-

nienicy, w dniu szóstym Lutego r. 1600, by-
 leby ona sama tego dobrowolnie chciała i te-
 mu się nie przeciwiała. Radziwiłłowie zaś pe-
 wni byli zczwolenia, ba wielkiej radości Xię-
 żnój, bo od roku już naówczas nad pozyska-
 niem jćj affektu sobie pracowali. Ale się o-
 bawiali bardzo aby im kto cichaczem nie psuł,
 a mianowicie z naszym P. Starostą nie będąc
 dobrze i dawne tam jakieś familijne pamię-
 tając zatargi, obawiali się, aby on P. Kasztel-
 lana nie bałamucił, a może też i na innych
 mieli podejrzenia, bo wiele dziedziców za-
 cnych i przednich domów litewskich stara-
 ło się o dożywotnią przyjaźń Xiężnój u PP.
 Chodkiewiczów. To też wczesnie zabiegając
 temu JMP. Wojewoda, dopisał w tćj umo-
 wie powtórnej pod zakładem zawartćj, że P.
 Kasztellan żadnych zmów potajemnych na prze-
 szkodę czynić niéma, pod zakładem tysiąca
 kop litewskich.— Ogromnej dalipan summy!

Aliści niebaczny P. Kasztellan na taką u-
 mowę zezwolił i oną podpisał, po czém już
 nawet pogrzebu nie doczekawszy się wyjechali
 Radziwiłłowie z Brzostowicy radzi i weseli,

że się im złapać Chodkiewiczów udało. A Xiąże Janusz z naprawy ojca swego Wojewody jął dopieroż co najsilniej o Xieźnój fawor i łaskę starać się, u niej bywać, podarunki ślać, i ją sobie ujmować — Ludzie mówili i mówią, że mu bardzo skłonna była — i jest podobno dotąd.

To było w r. 1595, jakem powiadał W Mości, a Xiąże Janusz ciągle się starał o Xieźnę aż po rok przeszły podobno, a ona wzrastała pięknie — Widzieliście ją kiedy?

— Nie — nigdy — odpowiedział P. Stanisław, wiecie że m się ja po obozach tułał więcój, niż po dworach siedział — Xieźnój zaś nie zdarzyło mi się widzieć, która przesiaduje w Grodku, Brzostowicy, albo w Wilnie tu u was — i pod Bernardynami u Kasztellana. A jam tu jak nie był prawie.

— Teraz już mieszka w naszój kamienicy, rzekł Burczak i z ochunistrzynią Panią Włodską, z fraucymerem prawie królewskim, tak liczny i dobrany z uczciwych szlacheckich pannen. Jesliście jój nie widzieli, wielka szkoda; miło na nią, jak na malowanie kościel-

ne z uszanowaniem popatrzeć. Byleście tu póty byli, zdarzy się wam pewnie ją zobaczyć. Spójrzawszy na nią, nigdybyście nie rzekli, że to kobieta wychowana w wygodach wszelakich i dostatku, a raczej słaba niewiasta jaka uboga, bo zdaje się patrząc na nią, że ją wiaterek wionący z nóg obali, tak wątła i słaba i smukła. Twarz to ma jużci piękną, choć czegoś bardzo smutną, jakby nazajutrz po płaczu, albo w wigilię wielkiej boleści — Człek na nią popatrzy, to mu się koło serca zwiija, jakby się także na lzy (nie wiedzieć czego) zbierało. Nigdy nie widział jęj jeszcze śmiejącej się, chyba Xiążę Janusz się pokaże; wówczas zda się ożyje Xiężna, oczy jęj zaświecą i rumieniec na lice wejdzie. I on też, czy kłamię, czy prawda, że się do nięj przywiązał, (bo heretykowi nie wierzyć), ale zda się mocnym ją miłować afektem, serdecznie ją kochać; ba co większa we wszystkiem jęj prawie słucha.

— Lecześmy jeszcze WMości wiele rzeczy opuścili, rzekł Barbier dolewając. Trzeba ci wiedzieć, że JM. X. Radziwiłł po żonie

swojej Ostrogskiej wziął pod Orszą dobra znaczne, zdawna sumą obciążone za Zygmunta Augusta, a w Chodkiewiczów domu będące zastawą w pięci tysiącach złotych.

Nie wiem co za zły duch podszeptał Xięciu Radziwiłłowi Wojewodzie, żeby tych dóbr na Chodkiewiczach prawem dochodzić. Jakoż dobrze się zdumieli Chodkiewicze wszyscy, gdy po owych w Brzostowicy zakłęciach i ofiarowanej przyjaźni wiekuistej, w lat parę odebrali pozwy w tej sprawie. Wielki to był hałas i krzyk na Radziwiłłów i na tém się owe związki przyjaźni całkiem rozerwały. Sroga zajęła się nicnawiść z obu stron, tak, że nawet widywać się przestano i na P. Wojewodę straszne krzyki P. Alexander z P. Starostą naszym wzniesili. Bronili się w sprawie, ale odgrządzając się na Radziwiłłów, że się im Kopysia owych dóbr pomszczą na Xiężnie Zofji. Jakoż odtąd jęli się starać jakby owe projektowane małżeństwo rozerwać. I niedługo po tamtych pozwach o Kopyś, nasz P. Starosta z bratem Alexandrem pojechali do Brzostowicy, gdzie przebywał stryj ich, opiekun

Xięźnój, P. Kasztellan Wileński. Niebyleśże i tam znów? spytał w końcu Barbier Pana Borezaka, który dość cierpliwie słuchał.

— Nie, nie byłem, ale dobrze wiem o tém, odpowiedział Borezak ożywiając się — przyjechali do stryja z wielkim żalem i lamenty, że on z Radziwillami się wiązał, którzy na zgubę ich familji dążyli i kroili, przed sądy ich pozyskując, pienając, dobra im chcąc odbierać.

Poruszyli tém P. Kasztellana tak, że i on zdjęty żalem, razem z niemi jął na PP. Radziwillów wyrzekać a odgrażać się. Wystawili mu bowiem, jako owe umowy z niemi były nawet prawu przeciwne, bo Xiążę Janusz z Xiężną Zofją byli w blizkiém pokrewieństwie, gdy mu ta pono siostrą jakąś wypadła; wystawili potem jakby to i Królowi JMości: łaskawemu zawsze na PP. Chodkiewiczów nie miło było, żeby oni z heretykami w ligi wchodzili i zapominając przepisów Kościoła św. Katolickiego, oddali w małżeństwo Xiężnę. Tak tam był krzyk na Radziwillów, że kiedy się im Xiążę Alexander Hołoweżyński nawi-

nał, co się pisał pieczętarzem do ostatniej umowy, tak go źle przyjęli, iż natychmiast nie bez gniewu odjechać musiał z Brzostowicy. Tym czasem P. Alexander i Pan Starosta nasz jeli stryja namawiać, że kiedy już ma oddawać Xiężnę Zofję Radziwiłłom, niechby przynajmniej o swoich pamiętał, a bez ich wiedzy tego nie czynił, żeby oni przez to do ugody o owe dobra Kopyskie przyjść mogli z Radziwiłłami. Czego chcieli, to i wymogli nareszcie, przyrzeczenie na *pismie*, pod wielkimi zakładami i zarękami od stryja, iż bez ich wiedzy nie wyda Xiężnój Radziwiłłom na terminie. Dowiedzieli się i Radziwiłłowie co się gotowało, ale Wojewoda dobrze sobie tuszył, mając zapis od Kasztellana; o pogróżki nie stał, pewien będąc swego. Ale tu już poczęło się gmatwać coraz gorzej. Nuż nasz Pan Starosta z P. Alexandrem bratem pozwali w Ziemstwie Nowogródzkiem Pana Kasztellana do przesłuchania linji powinowactwa Xięcia Janusza z Xiężną Słucką, pozwali też i Xięcia Wojewodę Wileńskiego do tego samego, że X. Słucka wedle prawa Litewskiego,

a jak oni mówili i Kościelnego, nie może być oddana Januszowi w małżeństwo dla blizkiego powinowactwa.

Pan Wojewoda ze wszystkiego się śmiał, bo że ta sprawa była zapisana, nigdy też Rokki Ziemskie do terminu ślubnego nie dochodziły. Tym czasem P. Wojewoda rozgniewawszy się na naszych Panów, a najgorzej na Kasztellana, że się dał namówić i nową podpisał umowę, odgrażał się ze swój strony najokropniej. A wiadomo co może! Tak to było aż do teraźniejszego roku. Ale Wmości nie powiedziałem jako się PP. Chodkiewicze z Xięciem Januszem spisali, który ciągle po dawnemu bywać myślał u Xiężnej Zofji i bywał. Temu dwie lecie, pojechał był do Brzostowicy raz pomnę i powrócił z tamtąd w gniewie, piorunując na naszych Panów, że go źle przyjęli, a widzieć mu się prawie nad raz czy dwa i to krótko, a w przytomności swój tylko, z Xiężną dopuścili. Potém jakoś zaraz P. Kasztellan uprosiwszy domu, co był go na nowo nasz Starosta wyrestaurował, sprowadził tu do niego Xiężnę z fraucymerem do Wilna. Tu je-

szeze gorzej Xięciu Januszowi się wiodło, a co dzień trudniejsze stało się widzenie.

- Będzie temu rok, jak się to stało, co jeszcze gorzej pojątrzyło na siebie Ichmościów. Pamiętam to, byłem tu wówczas. Jakoś we Wtorek przed Bożem Ciałem, przyjechał Xiąże Janusz do téj kamienicy, chcąc się widziéć z Xiężną, która oknem patrzyła w nlicę i powitała go uprzejmie jak zawsze. Właśnie nasz Pan Starosta był doma, i gdy Xiąże Janusz do wrót się przybliżył, kazał mu oznajmić przez Marszałka, że Xiężna go nie przyjmie, bo on, jako opiekun, tego jój nie dozwoli. Wielki był krzyk i odgrazanie Xięcia Janusza, wielkie wołanie u wrót, ale to nie nie pomogło.

W kilka dni posłańca z pismem przysłał Xiąże Janusz i podarki tam jakieś, ale i tego Starosta nasz, zasadziwszy szpiegi, nie dopuścił, odprawując z niezém nazad i odgrazając się, że z tego wszystkiego, póki on żyje, nie nie będzie, a Radziwiłłowie dość już swój nieżyczliwości domowi Chodkiewiczów dali dowodów, aby się wzamian od nich, powolności tylko ciągłych spodziéwać mogli. Probował X. Ja-

nusz sługi przekupić, ale gdy się to wydało i sługi precz odpędzono, dal temu pokój.—Xięźnie zakazano mocno aby się nie ważyła z X. Januszem potajemnie znosić, bo ją miano dać do Monastéru pod srogie zamknięcie. Xiężna płakała, ale to nie nie pomogło. Xiążęta zaś Radziwiłłowie mszcząc się za Jana Karola i Alexandra na Kasztellanie Wileńskim, pozwali go tego roku przed Trybunał sądzący się pod laską Jerzego Xięcia Radziwiłła Kasztellana Trockiego o ową klauzulę w umowie zawartą, że nie miał czynić żadnych zmów potajemnych przeciw nim, pod winą tysiąca kop; oskarżając go o to, że się z synowcami swými nieprzyjawnymi ich domowi zmawiał i znosił, że przez to powstały wszystkie trudności w dopełnieniu danych przyrzeczeń. Łatwo wam domyślić się, że Kasztellan przegrał sprawę na głowę i skazany został na zapłacenie tysiąca kop; czego on, choćby i do bannieji przychodziło, jak to już mówią że będzie, opłacić, nie opłaci.

— I, rzekł Barbier, Król JMość nigdy takich excessów nie dopuści, bo wiadomo wam

wszystkim, że Gile Chodkiewiczów i wszystkich prawych Katolików kocha i proteguje, o tyle całą tę partję heretycką i syzmatycką, w której prawie głową X. Wojewoda z XX. Ostrogskimi, nienawidzi dusznie. Byłoby to też ostatnie upokorzenie, gdyby oni w tej sprawie a nie my wygrali. Trzeba Wmości wiedzieć, dodał, że terażniejszego roku w tej partji ruch wielki, a wszyscy przeciw Królowi Jegomości, i przeciw nam Katolikom żarcą jak lwy — że Król JMość Jezuitów silnie proteguje i Unję kościołów z wielką ich zgрозą wznawia, jak się to przed trzema laty stało, a teraz doprowadza do skutku. Tego roku przed Trybunałem uczynili tu wielki zjazd między sobą, na którym byli wszystkie Xiążęta Ostrogskie i Ruskich ziem przedniejsi, a także z Polski, co ich jest reformowanych, najechało. To się tu pisali sobie do jakiegoś Unji Grecy z drugimi heretyki, że się mają Jezuitom i Katolikom i Królowi opierać i bronić. Była też tu i sławna dysputa, na której występował przeciw trzydziestu ministrom Xiądz Smiglecki Jezuita, i wszystkich ich po-

konął z wielkim ich wstydem i upokorzeniem, ale nieprzeto się poddali, bo chodzą wszędy po mieście i prawią że oni wygrali, choć jest na to uciekało świadków, że inak się stało.

— Ale tegoście Wmość nie powiedzieli, z kąd ta wojna i gdzie i między kim będzie, spytał Pan Stanisław, jużcie się z sobą o Xiężnę Zofję bić nie będą?

— Właśnie że tak myślą, rzekł Pan Bureczak, a Chodkiewicze krwawo się bronić zamierzają. Pisał, prawda, Król Jegomość i do P. Starosty i do Xięcia Wojewody, aby temu dali pokój, a dozwolili między sobą rozsądzić tę sprawę i wzajemne krzywdy na Sejmie; ale to groch o ścianę. Nieposłuchają!

— I cóż? doprawdy zabierają się do wojny?

— Nie inaczéj, odpowiedział P. Barbier — A że termin wydania Xiężuój wypada dnia szóstego Lutego roku da Bóg doczekać przyszłego, tu, w téj oto kamienicy Pana Starosty, więc też i tu się kędyś ta wojna pocznie.

— I już się do niej niepomalu sposobią, dodał Bureczak. Nasz Pan Starosta z kąd może

lud spisuje i gromadzi, tylko że nie po jego to sile stawić czoło tym obmierzłym heretykom; bo Xiążęta Ostrogskie pomagają bardzo silnie Radziwiłłom i wszyscy eo ich jest heretyków i Rusinów. Ale za się i J. K. M. wstydby już było, żeby jego najbliżsi i najwierniejsi padli marnie. To też dzięki Bogu, J. K. Mość pewnie się w to wda, żeby nie przyszło do walki, a jeśli i przyjdzie, ma Pan Starosta nasz pewnych dwa tysiące ludu na obronę kamienicy i dział ze smigownicami ze trzy dziesiątki przyjdzie.

— A cóż na to Radziwiłłowie? spytał Stanisław.

— O! oni na licha ludu będą mieli, bo im wszyscy tegoroczni Konfederaci pomogą, z niemi jedną ligę trzymając. Mają oni trzech Xiążąt Ostrogskich, Pana Kasztellana Krakowskiego, Wojewodę Kijowskiego i Wojewodę Wołyńskiego, a ei niemają mogą ludu wystawić. Jesteś z niemi i Xiąże Kurlandzki, bo i to heretyk.

— Jest też, dodał P. Barbier i Pan Abramowicz z Wornian, Wojewoda Smoleński i

Naruszewicz szwagier Wojewody i hratanek jego P. Starosta Mozyrski i kto ich tam z resztą policzy. Oni pewnie będą mieli do pięciu a może i sześć tysięcy wojska. Ale gdzie sześć atakuje, tam się we dwa tysiące dobrze bronić można, dodał.

— Pewnie, przerwał Stanisław, że się z pomocą Bożą nie damy.

— A co Wmosć na to powiesz, że i Zamojski z niemi, przeciw nas?

— Kto go tam zrozumie? rzekł P. Stanisław. Nasłuchałemci się tyle o nim w czasie Eleckeyjnego Sejmu, choćem był ono chło pięciem, że na niego się patrzą jak na cudowisko. Powiedzieć mi kto z nami?

— Wszyscy Katolicy, ale Panów mało, szlachty naszój więcej, i pono przyjdzie wszystko wojsko z żołdaków złożyć, bo wszyscy się obawiają zaczepiać Wojewody i konfederacji, a każdy odpowiada grzecznie, że radby służył, ale mu coś wadzi. Tylko Wojewoda Sandomirski po starój przyjaźni i po wie-

rze z nami (Mniszech) choć i on ludu nie obiecuje przystawić, a sam tylko ma zjechać.

— Ale to się na wielkie rzeczy na katy za biéra, rzekł Stanisław powstając — Chodkiewicz wie nie myślą oddawać Xiężniczki, a Radziwillowie siłą ją brać zamierzają, jak fortecę.

— Tak to jest, co do słowa, odpowiedział Barbier.

— A jakże to Xiężna widzi?

— Bóg tam tylko serec jój zna, dodał Burczak. Ja, co ją dzień w dzień widuję i raz wraz o nią słyszę, nie lepiej ją znam od Waszmosciów, co z daleka przybywacie. To wiadomo pewnie, że w sereu sprzyja Xięciu Januszowi najmocniój, że go nawet miłością kocha, ale tak jest milcząca i spokojna, jak gdyby jój wszystko szło najlepiej. Gdy P. Kasztellan z naszym Panem Starostą oznajmili jój, aby więcej z X. Jannszem żadnych nie miała stosunków ani liścików, (bo i to bywało) pisywała i odbierała, ani posłańców dopuszczała do siebie, odpowiedziała im — Stanie się woła Waszmosciów. Zdaje się nawet, że nie

szuka sposobu widzenia się i dowiedzenia o X. Januszu. Jednakże gdy X. Janusz jedzie ulicą (a często często przejeżdża się pod naszymi oknami) stoi zawsze i patrzy, i chustką mu białą znaki daje, bo to nieraz widział, nawet głową nieboraczka potrzasała. Skoro się o tem dowie P. Kasztellan, pewnie ją w drugie od okna z mieszkania przeniesie, bo już go ta fama bannicji do ostatniej doprowadziła złości — Jak się dowiedział że ją gotują, wołałby teraz djabła niż Radziwiłła. Wszyscy Katolicy za nim wielkimi głosy wołają i Xiądz Rektor Collegium św. Jana dawał znać przez swoich Królowi JMsci, aby tego nie dopuszczano. Tu jednak w Wilnie heretycy wszystko w ręku trzymają; i żeby im się jeszcze Jezuici nie opierali, jużby nam i po głowach pewnie jeździli, bo się przechwalają swoją tegoroczną konfederacją bardzo wysoko.

— A zatém i dzień już swita! rzekł Pan Barbier wyglądając oknem, pójdziemy do naszej izby, bo i dzbanek suchy i głowa ciężka.

— A ja do roboty po bezsennej nocy, dodał Burezak — Jak na brzask trzeba będzie

wrota otwierać i ład tu w kamienicy zrobić
bo i Pan Starosta co chwila spodziewany.

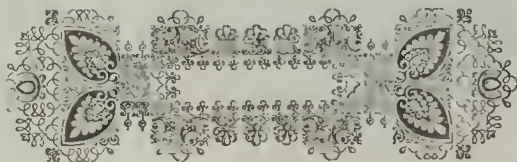
—Zaczęli się rozchodzić wszyscy, a dzień
już był biały, kiedy się P. Barbier z P. Stani-
slawem spać pokładli na sianie.



V.

W Kardynaliu.





V.

W Kardynali j.



PANEK, w mieście nadewszystko, jest godziną ruchu i życia. W chwili przebudzenia wszystko jest najczynniejsze, rzeźwiejsze, wszystko się porusza, idzie, ży-

je, czuje swoje życie. Gdy świt tylko na wchodzie zajaśniał, już Wilno powoli się ze snu zbudziło; a naprzód ozwał się Bernardyński dzwonek na jutrznię, potem w drugim końcu Franciszkański, potem dzwony chóru innych klasztorów. Ulice wypełniły się przekupkami, wieśniactwem to z drwami, z sianem, to z żywnością przybywajacém. Coraz większa wrzawa i zgielk powstawał. Młeczarki rozstawiały swój szynk kilkogodzinny, otwierały się winiarnie i garkuchnie, słupy dymów sunęły się z kominów piérzastych. Koło Ratusza zaczynało się kupić żydowstwo, kupcy w bekieszach z futrem szli otwierać sklepy szepecząc pacierze; stare jejmoście w czarnych axamitnych czółkach z ogromnemi pod pachą xięgami, wlokły się do kościołów, tuląc ręce w lisich i rysich zarękawkach. Golarnie i cyrulickie sklepy były najczynniejsze, przepełnione; przed każdém niemal oknem oznaczoném mosiężnemi talerzyki, widać było ogromną twarz pokrytą mydłem, z którego tylko wąsy na bok stérczały.

Tam i sam po mieście wlokły się żydowi-

ce w białych długich zaslonach, wlokących się po ziemi. Otwierały się bramy i furtki domów, pałaców, otwierały się drzwi kościołów, których ganki i przedsienia obsiadali żebracy, jeszcze pocichu tylko pacierze odmawiając.

Ru Zamkowi idąc, w pałacu Radziwiłłowski, niedaleko kościoła św. Jana położonym, wszystko się już także było przebudziło; słudzy i drażnicy szli na miasto, dworzanie wybiegali przed wrota, hajdncy w barwie przy browi stawali w dziedzińcu na straży. Znać tu było mieszkanie Wojewody po przepychu, po ciżbie która się tłoczyła z różnemi sprawy i dopraszała się wnijścia. Pałac Radziwiłłowski sklejonny był z kilku oddzielnych domostw przez Kardynała Radziwiłła, który właśnie podczas gdy się ta powieść toczy, do Rzymu się wybierał po raz trzeci czy czwarty, i nie mieszkając w Wilnie od czasu wzięcia na Biskupstwo Krakowskie, odstąpił był swojego pałacu Wojewodzie. Pałac ten nie miał powierzchowności regularnej i pięknej. Coś jednak w jego wielkości zastanawiało, a czystość utrzymania tak w owe czasy rzadka,

wielkiego Pana oznajmywała, nie było bowiem przed nim owych kup śmieci, które niedaleczko zaraz, pod mieszczańskimi domy wznosiły się, i na których głodne psy tnacze szukały pożywnych cząstek. Część piętra od placu kościoła św. Jana i drugą na ulicę Zamkową zajmowały okna mieszkania Wojewody Wileńskiego i syna jego Janusza. Pani Wojewodzina, czwarta małżonka jego, nie była podówczas w Wilnie, ani żadne więcej z jego dzieci.

Mówiliśmy już o Wojewodzie i jego charakterze. Był to dumny, bogaty Pan, stojący w opozycji przeciw Królowi, przewodniczący stronnictwa reformowanych skonfederowanych z Grekami, zazdrośny łaski Królewskiej, zlewającej się mianowicie na katolików, silnie postawiony w opinii publicznej swojego stronnictwa, związany jednością sprawy i kolligacji z Xiążętą Osrogiem i innemi z Rusi, a familijnemi związkami z sławnym Lwem Sapiehą i Zamojskim. On zdawał się być głową możnych w Litwie i reprezentantem tej klasy, która widząc nie-

chęć Króla ku sobie, a skłonność jego ku Chodkiewiczom i Katolikom, postanowiła sama sobie wystarczać. W takich wyobrażeniach wychowany był i syn Xiążecy, Janusz, później tak nieszczęśliwie sławny rokoszem, w którym wszczepiona już była niechęć ku Chodkiewiczom największa (będąca pono i najbliższą rokoszu przyczyną) ku katolickiej partji nienawiść, ku religji panującej pogarda; chęć poniżenia ich i zemsty.

Właśnie się był Xiążę Janusz przebudził i zawołał na sługi, porwawszy się z łoża wysłanego skórąmi miękkimi, (jak pod ówczas było we zwyczaj). Izba, w której się to działo, była przestronna, sklepiona oknami ku kościołowi Ś. Jana obróconą, w większej części makatami obita.

Tam i sam bogate rozwieszone były oręż, stały zbroje połyskujące, jakoby tylko co z rąk płatnérza wyszły. U głów Xięcia stała naléwka srebrna złocista, miednica i kubek.

Zaledwie się z łoża młodzieniec pochwycił i przetarł oczy, klasnął w ręce na sługi i tnął nogą w podłogę. Drzwi się otworzyły,

sukno na nich zawieszone podniosło, weszło dwóch pajuków w barwie Radziwiłowskiej, niosąc wodę zimną do umycia i tuwałnię bogatą do otarcia. Xiąże oblał się cały zimną wodą w mileczeniu i otarł, a piękne swoje czarne włosy, które długimi nosił na on czas, rozczesał. Nie trefił ich jak dziś, nie muskał, tylko wodą je zlał zimną i przygładził nieco dłonią. Potém wása młodego poprawił, wziął na się odzienie niebogate, lecz wytworne bo z przedniego sukna i atlasu szyte czarne, bóty z pięknego Kurdymbanu żółtego, spinkę z soliterem czarno oprawnym, pas złocisto przetykany perski. Po czém spytał.

— Xiąże Wojewoda Jegomość czy się już przebudził?

— Już, Jasnie Oświecone Xiąże, odpowiedział pajuk — chwila jak do niego Minister Zborowy przypuszczony został.

— Podajcie mi polówkę, zawołać Tomiłę Tomiłowicza.

Pajucey wyszli, chwila upłynęła, Xiąże stanął w oknie od kościoła, a widząc idących doń nabożnych ludzi, z gniewem się ofuknął. —

— Zawszeż na tych pogan papistów patrzeć będę!

Odwrócił się i usiadł za marmurowy stół, podparłszy się łokciami, kręcąc wąsa. Jakaś myśl narta chodziła mu po głowie, bo czoło marszczył surowo.

W tém na srebrnej tacy wniesiono w srebrnej wazce polówkę, a za służącym wszedł dorodny dworzanin, pofalce młodego Xięcia Tomiło Tomiłowicz, przezwany od dworzan innych Dubiną, bo w istocie prosty był jak dąb i zdawał się na oko nawet, jak to drzewo, niepożyty i silny.

Śludzy wyszli, Xięże porzucił polówkę i prędko odczwał się do Tomiły.

— Cóżes zrobił Tomiło? coś widział? coś słyszał? mów.

— Całą noc strawiłem Jasnie Oswiecone Xięże Panie, chodząc koło kamienicy Chodkiewiczowskiej, w której ruch jakiś i niepokójność panowała.

— Co to było? widziałeś się z kim?

— Dwa jakieś poczty przybyły w nocy.

— Dwa? jak liczne?

— Po kilku ludzi.

— Cóż to za jedni? dowiedziałeś się?

— Nie byłbym się mógł dowiedzieć, bo nie było sposobu wkraść się do kamienicy, rzekł Tomiło, ale szczęściem ktoś tam już późno w noc wysłał dworzanina po wino i z tegom dopiero dobałał.

— Cóżeś wybałał?

— Nie zaiste ważnego, odpowiedział Tomiło, to tylko że przybyli: P. Barbier jakiś Francuz, który mówią, jakem się dziś dowiedział, służył w wyprawach około fortec i obozów, i drugi P. Stanisław z zagranicy, wychowaniec Starosty, który był wysyłany dla nauki sztuki wojennój.

— Myślą się już w kamienicy fortyfikować, krzyknął Xiążę Janusz—ale zjedzą djabła papiści, lojoliści przekłeci! Gdyby wysoka była jak wieże ich kościołów, jeszcze jój dostanie-my, choćby przyszło miastu zburzyć—i—Tu uderzył pięścią w stół aż kubek z polówką wywrócił i wstał Xiążę Jannsz.

— Cóż więcój? Nie starałeś się przekupić tego dworzanina?

—Spoilem go wczoraj z P. Adamem, i jeszcze dziś na wino zaprosił, może co z niego wycisnę.

—Probuje, rzekł Xiążę Janusz, czyli przez niego nie można by otworzyć do kamienicy Chodkiewiczowskiej i Xiężnój wstępu.

—Zdaje mi się że będzie można — rzekł Tomiło, ale jeszcze nie jestem pewny.

—Znałbyś łaskę moją dla siebie, gdyby ci się to udało.

—Począłem tylko, nie wiem czy moje staranie W. X. Mość pochwali.

—Cóż tam zrobił?

—Spoiwszy go wczoraj, odjąłem mu był klucz z kieszeni od małej furtki na Zamkową ulicę z kamienicy Chodkiewiczowskiej i wycisnąłem go sobie na wosku—Może się przydać.

—Dobrześ zrobił, dobrześ zrobił, zawołał Xiążę Janusz. Z niemi wszystkie sposoby dobre; jak oni walczą, tak i my. Każ taki klucz zrobić, dasz mi go jutro. Idź, nie spuszczaaj z oka kamienicy Chodkiewiczowskiej, żebyś wiedział wszystko, cokolwiek w niej się dzieć będzie.

Tomilo skłonił się do stóp Xięciu i wyszedł. Xiążę chwycił szablę, przypasał ją do boku, potem nałożył czapkę z piórem na jedno ncho i posunął się kurytarzami wiodącymi do pokojów ojca. Cichość panowała w téj stronie pałacu, wielki tłum sług, dworzan, i pajuków, hussarzy, stał u drzwi zapuszczonych zieloném suknem w najgłębszém milczeniu. Na widok Xięcia Janusza, ci którzy siedzieli powstali — Xiążę wcisnął się po za zasłonę i puknął do drzwi ojca — Głos dał się słyszeć ze środka.

— Kto?

— *Janussius*, odpowiedziano.

— Wejdz. Na te słowa otworzył Xiążę drzwi i wszedł do wielkiej bogatěj komnaty, podobnej téj, którąśmy już opisali, lecz wytworniejszėj jeszcze. Podłoga jēj wysłana była przednim perskim kobiercem, ściany makatami wybite, ławy do koła i krzesła okrywał aksamit purpurowy z franzlą złotą. Muiěj tu było na ścianach broni, lecz stół wielki u okna stojący założony był xiegami w wielkieј

liczbie i porozrzucanemi papiéry. Na nim stał także wielki złocony zegar.

Xiąże Wojewoda siedział w krześle, w axamitnej sukni z łańcuchem złotym u szyi, bez pasa. Twarz miał surową, bladą, oczy potężne wyrazem, czarne, włos czarny, spuszcisty i czarną długą brodę niejako familijną ozdobę. Na twarzy jego malowało się męstwo, zaufanie w swych siłach, niejakaś pogarda i duma, nieposkromione żadnym łagodniejszym uczuciem. Rozpogodziło się nieco oblicze, gdy syn wchodził. Podał mu rękę do pocałowania, której Xiąże Janusz dotknął ustami i milezący stanął za krzesłem ojcowskiem.

— Cóż nowego M. Xiąże? spytał ojciec (tak go tytułował zawsze).

— Nic, lub tak jak nic.

— A u mnie są nowiny, rzekł wskazując na papiéry Wojewoda.

— Wolno się spytać W. X. M. ojca mego miłościwego, jakie?

— Odpowiedzi Panów Senatorów, którychem uprosił do posrednictwa między temi

papistami, faworytami a nami, w rzeczy twojego starania się o Xiężnę Zofję, do której połamawszy wszystkie swoje najświętsze obietnice i opisy, nie przypuszczają już WMości. Wszysey, których sprosiłem, obiecali mi na dzień jutrzejszy zebrać się do mnie, zkład mają się udać do Kasztellana i prosić go, a raczej pokazać mu, iż powinien zmienić swoje nieprzystojne postępowanie.— A chce wojny— to będzie wojna i na Boga żywego, sroga wojna dodał Wojewoda unosząc się, wojna, z której noga Chodkiewiczów nie wyjdzie!! Co WMość na to? rzekł zwracając się do syna.

— Całuję ręce W. X. Mości, Pana mego i ojca, za Jego pieczołowitość, i dziękuję pokornie za nową łaskę.

— Zdaje mi się, dodał Wojewoda, że gdy Kasztellanowi— zięć mój Rancierz (Lew Sapieha) PP. Wojewoda Smoleński, Pan Starosta Mozyrski, Pan Kasztellan Żmudzki, P. Kasztellan Krakowski i inni PP. Senatorowie reflexją uczynią, powinienby się pomiarkować, iż za poradą swoich młokosów synow-

ców, owych Jezuickich żaków, źle czyni i na swoją się tylko szkodę i wstyd kusi. Boć mnie nie zmoże, by mn jeszcze drugie tyle Jezuitów pomagalo i dwóch niemych Królików — kiedy kraj cały za Radziwillem!

— Dowiedziałem się, rzekł Xiążę Janusz, iż Chodkiewiczowie sprowadzili już w sztuce wojennój biegłych z za granicy, dla fortyfikowania kamienicy swojej. Wczoraj dopiero przybyli.

Wojewoda głośno się, rozśmiał.

— I oni myślą, że się ze mną mierzyć mogą! zawołał — ze mną i z Radziwiłłami! Chodkiewiczowie ze mną! Ja i moi, czapkami ich zarzucim, pochwami od pałaszy pobijem. Co za zuchwalstwo! — Nie — to oni tylko robią, na postrach, dla pokazania jak dalecy są od zgody — Oni to tak Kopyś i zgodę targują u nas. Nauczyli ich tego Jezuitowie chytry, aleśmy i my w ciemnię nie bici! Słyszał kto co podobnego!

I Wojewoda zżymał się z gniewu.

— Nie miałeś WM. żadnej wieści od Xiężnej Zofji? spytał po chwili spokojniój.

— Żadnej, pilnują jej Argusiem okiem, M. Xiążę, ledwie ją czasem z okna zobaczyć można i to chyba mimo jadąc. Spodzielwam się jednak, że Tomiło komunikację mi z Chodkiewiczowską kamienicą ułatwi, bo już coś począł.

— Pamiętaj tylko WMość, dodał Wojewoda, aby ten drażał i WX. Mości nie wpłatał w co. Niechaj on robi, karku nadstawia swego, jakby to z własnego domysłu bez rozkazu nieczyjgo czynił, bo ci papiści gotowiby ztąd wziąć assumpt do szkalowania nas, że ich zdradą podchodzimy. Co Radziwilom brzydkie i samo podejrzenie.

— Niech WXMość spokojny będzie o to. Ja mu dałem dobrą naukę, a to chłop sprawny, obrótny i przywiązany.

— Jak się jatrzejsze poselstwo powiedzie Bóg to wie — rzekł Wojewoda do stojącego ciągle za krzesłem Xięcia Janusza, ale nieplonną mam nadzieję, że skutek wziąć powinno; bo kiedy dwunastu poważnych i co najprzedniejszych Senatorów przełoży tę rzecz, trudno by papiści nie wzięli tego do serca i do

głowy, że się tak, jak oni czynią, łamać obietnic nie godzi. JmPan Kasztellan i tak o wlos tylko od bannicji i na mojój łasce, choć o nie udaje, że nie dba.

Gdy to Xiążę mówił, ozwały się dzwony Jeznickiego kościoła Ś. Jana.

— Zawsze mi bić musi w uszy to nabożeństwo lojolistów, bałwochwalców, lisim ogonem zasłaniających się pochlebców Jezuitów. I niema już miejsca w mieście, gdzieby ono uszu naszych nie dochodziło, oczu naszych nie raziło.

Xiądz Pastor Zborowy, który w ciągu całej tej rozmowy między synem a ojcem stał w milezeniu jój słuchając, odważył się rzeczicha.

— Długo Bóg czeka i ciérpi, ale nie przeto powątpiewać potrzeba, że prawdziwa wiara, wiara czysta Pisma Świętego, górę wzięść musi nad przesądnemi obrzędami bałwochwalstwa.

— Miły Xiężę Pastorze, odpowiedział Wojewoda, radbym temu z serca wierzył, ale od kilka lat starania nasze w nie idą, bo Król z Jezuitami wielce nam szkodzi; i cośmy

za nieboszczyka Króla Augusta postępowali, to się dziś cofamy.

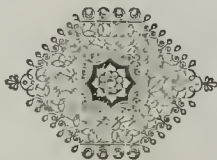
—Nie to, rzekł Pastor, powoli prawda działa na serca ludzkie. Dozwolmy im wszystką siłę wyrzucić, a potem ich samych bezsilnych weźmiemy. Nie cofa się wiara nasza, ale idzie po całym świecie i co dzień czyni nowe postępy, mimo silnego oporu od Rzymu. Przyjdzie czas i na ten kraj obłąkany, że go Bóg oświecić raczy i da im poznanie swych błędów i prawdy, której dziś nie widzą.

Wojewoda westchnął i zapatrzył się w okno, a Xiążę Janusz zaciął wargi. W fizjonomjach obu ich znać było zniechęcenie i brak wiary, brak nadziei, który był czuć się dawał w tym czasie w sercach wszystkich, acz silnie jeszcze się trzymających protestantów. Wielu z nich rzuciło nawet nową wiarę. W samej rodzinie Radziwiłłów były już tego przykłady, a najznamięnitszy na Siérotce żyjącym jeszcze, który z Ewangelika stał się tak gorliwym Katolikiem i katolickiej wiary podporą.

—Mości Pastorze, rzekł Wojewoda — je-

śli będziecie dziś widzieć P. Wojewodę Smoleńskiego, powiedźcie mu, że go czekamy jutro, otwartemi sercem i rękoma.

To znaczyło pożegnanie, a X. Pastor Zborowy nisko kłaniając się wyszedł. Zostawszy sam na sam syn z ojcem, kilka jeszcze słów do siebie przemówili, potem Wojewoda zasiadł nad papiery i przyzwał pisarza swego, a Xiąże Janusz ucałowawszy znown rękę ojcowską wysunął się z komnaty, i kazawszy sobie podać konia — wyjechał w miasto.

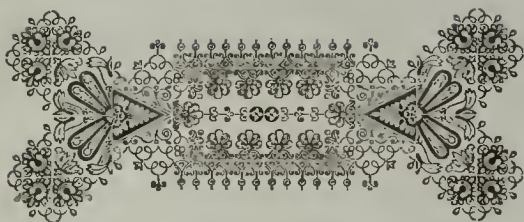




VI.

Kasztellan i Xiężna.





VI.

Kasztellan i Xiężna.

TEGOZ samego poranku wielki był ruch w Chodkiewiczowskiej kamienicy. Spodziewano się co chwila Pana Starosty Żmudzkiego, a P. Kasztellan Wileński do-

wiadywał się przez służę, czyli już nie przy-
 był. P. Barbier z P. Stanisławem oglądali i
 obchodzili kamienicę, dla przekonania się co
 w niej dla umocnienia uczynić będzie można
 i jak ją najlepiej w stanie obrony postawić,
 na przypadek oblężenia. Mularze i czeladni-
 cy stali na ich rozkazy gotowi rozbijać mu-
 ry, poprawiać, wyrzynać okna i otwory na
 smigownice i działa. Służba z ciekawością
 przyglądała się tym przygotowaniom, które
 zdawały się zapowiadać wojnę, wojnę o któ-
 rą wszyscy mówili prawda, lecz nikt jej je-
 dnak spełna nie dawał wiary, tak była dzi-
 wną rzeczą dla wszystkich. W mieście wie-
 dzieli dobrze mieszkańcy o zajściu Chodkie-
 wiczów z Radziwillami, wiedzieli o spisywa-
 niu wojska i odgrózkach wzajemnych, nikt
 jednak nie przypuszczał, żeby aż do tego
 przyjsć miało, aż do rozlewu krwi bratniej.
 Lecz tego dnia dopiero rozeszła się wieść po
 Wilnie, że kamienicę Starosty Żmudzkiego
 naksztalt fortecy umacniają, wybijają strzel-
 nice na działa, zamurują słabsze miejsca,
 gdzieby łatwiej wylomy uczynione być mogły.

Mieszczanie zastanawiali się idąc ulicą, spoglądali na mularzy stojących w fartuchach z kielniami w rękach po dachach kamienicy; głowami kiwali, i mówili do siebie.

— Źle coś panie Macieju koło nas — kiedy tu już fortecę w środku miasta robią.

— Oj źle, Bazyli Iwanowicz, trzeba się nam z miasta wynosić, za nim tu wojna przyjdzie.

I szli dalej niosąc popłoch po mieście. Lecz najniespokojniejsi byli ci, którzy trafem bliżej kamienicy Chodkiewiczów mieszkali i lękali się żeby niewinną nie padli ofiarą tej wojny domowej. Ci ze drżeniem poglądali na przygotowania czynione, bledni i milczący, rozpytywali się o liczbę wojsk, która rosła w ustach ludu; smutni, byliby poprzedawali domy swoje za lichą cenę, gdyby się je kto odważył kupować.

Tym czasem P. Barbier przypasawszy sążnistą szpadę, w kapeluszu z piórami, w czar-nym płaszczu, kręcąc wąsa, przechodził się po kamienicy, łaził, oglądał, drapał się aż na dachy i wskazywał robotę mularzom. Rozkazał on naprzód podwoić mur od strony

Cerkwi Bogarodzicy, ku obecnemu wychodzący dziedzińcowi, kędy łatwo go było przebieć a wyłom uczyniwszy do kamienicy się wdrapać; znaczył miejsca, z których oblegających najlepiej można razić ze snigownic i takownic, kazał tam podnosić murki, indziej zbijać, w inszych tylko wązkie wyciosywać strzelnice, rozszéraszające się na działa u dołu. Ruch był wielki, ale wszystko odbywało się w cichości, spokoju, milczeniu. Gdy się to dzieje w Chodkiewiczowskiej kamienicy na ulicy Zamkowej, Rasztellan spokojnie modli się w swoim pałacu pod Bernardynami. Jeszcze go był wówczas nie oddał Zakonnikom Ś. Franciszka; pałac jego stał jeszcze z ogrodem przytykającym do ich klasztoru, a z drugiej do PP. Bernardynek ubogiego domku; którego krzyżak raczój zdawał się szpital niż klasztor oznaczać, tak jego pozór był ubogi.

Rasztelańskie domostwo, zwane wówczas pospolicie Rasztellanją, nie było ani wielkie ani wspaniałe; był to raczój wiejski dom mурowany. Tej wiejskiej powierzchowności używał mu otaczający go ogród. Cichość tu pa-

nowała, przerywana tylko śpiewem, który do okien dolatywał z Bernardyńskiego chóru. Mniej wspaniały był dwór Kasztellana od Wojewodzińskiego, mniej suć w rygorze trzymany, ale swobodniejszy. Nie znać tu było grozy, choć nie brakło porządku. Pałac był czysty, korytarze jego wysypane piaskiem białym, w komnatach jaśniały ściany obrazami przodków począwszy od owego Chodkła Borejki, od którego wiedli się Chodkiewiczowie, przeplatane wyobrażeniami świętych i wypadków z historii kościoła i kraju. U każdych drzwi było naczynie z wodą święconą srebrne, przybite wedle zwyczaju. Każdy się prawie żegnał, kto wchodził.

Służba nie chowała tu kości i kubków pod poły, jak w Radziwiłłowskich korytarzach, bo gra u Kasztellana była zakazana surowo; lecz przystojnie się sięga pobożną, lub rozmową zabawiła. Sam Kasztellan ranku owego siedział jeszcze w swojej komnacie obitej ciemną materją. W izbie téj dowody pobożności gospodarza przeważały nad inne ozdoby i sprzęty. U skromnego łoża wisiał krzyż

i dysecyplina drnciana obok szabli i misiurki; na xiegach Kroniki Bielskiego (naówczas zakazanych a jednak czytanych przez Katolików) przy Kronice Matysa Strykoviusa Prackonidesa, leżały Żywoty Świętych, Skargi i Relacja Dysputacji X. Smigleckiego z heretyckimi ministry odbytej, mnóstwo też Jezuickich pannedyryków i świstków ówczesnych, oręży owój wojny o wiarę, która się właśnie między Katolikami a nowowiercami toczyła. Kasztellan tyłkoco był powrócił z rannój mszy od Xięży Bernardynów i sniadał sam jeden zamysłony.

Puknięto do drzwi.

— Kto tam?

— *Servus tuus Domine, Joannes.*

— Proszę Wmości, proszę.

Kasztellan kilka kroków od stołu postąpił na spotkanie wchodzącego.

Przybyły był to Jezuita; poznać to było, po czarnej obeislój sukni, po poziomém, pokorném achytrém spójrzeniu, po złożonych na krzyż rękach, zgiętém na wpół ciele. Na głowie jego świeciła świeżo wygolona korona

jak duży talar — Twarz miał bladą, długą, szczęki wyschłe i skóra zmarszczoną pokryte, oczy wpadłe, nos suchy i wystający, usta szerokie, lecz niedojrzane dla cienkich warg, policzki wpadłe.

Postąpił Ojciec Jan Jezuita i skłonił się i ręce złożył i dał krok i znowu uklonił jeszcze uklon, aż go Kasztellan ścisnąwszy za rękę posadził w krzesło, którego on tylko częścią swego ciała zajął, wtuliwszy czapkę pod pachę.

— Cóż tam nowego Ojciec? spytał Kasztellan.

— U nas w Collegium nie, rzekł Ojciec Jan. — Wyszedłem na miasto z Socjuszem, który tu do OO. Bernardynów miał interes względem kościelnej kapelli naszej; i korzystałem z okoliczności, żeby JW. Panu złożyć powinno uszanowanie i cześć.

— Bardzo Wam dziękuję, rzekł Kasztellan otwarcie; a nie napijcie się co, albo nie zjećcie!

Jezuita się pokłonił i jakby mimowoli język jego na usta spalone wysliznął się.

— Wiadomo JW. Panu, rzekł, że ustawy naszego zakonu zabraniają nam pić i jeść u Externów.

— To dla młodzieży, rzekł Kasztellan; Wam zaś Ojcze, który excessu nie popelnicie, godziłoby się — pozwolicie — I klasnął Kasztellan.

— Nie, nie, JW. Panie, odrzekł prędko Jezuita, wszyscyśmy przywykli szanować ustawy zakonne, a przytém adwent i post.

Kasztellan nie nalegał więcćj.

— Jakże się ma wasz szanowny Rektor Collegium, Ojciec Garsias Albanus?

— Dzięki Bogu że go w dobrém zdrowiu trzyma i zachowuje, bo czasy są ciężkie i potrzeba wodza Zakonowi do wojny.

— Macie Ojcze słuszość, macie słuszość, odpowiedział Kasztellan — Kościół wojuje właśnie i srogą ma wojnę z heretyki na ramionach.

— Najwięćj nam dopieka sąsiedztwo ich z naszym kościołem Św. Jana, które się nie obejdzie bez szyderstwa ze świętych obrzędów. Nie wyjdzie żaden z naszych na ulicę, żeby nie spotkał ich wejrzeń, nie dostał po twarzy

blotem, lub szyderstwem w oczy. Oni zdają się tylko czatować na nas i na naszych, tak, że młodzieży nawet, do Akademji uczęszczającej, nie przepuszczają. A najwięcej nas to boli, dodał wzdychając Jezuita, że to miejsce, skazane dziś pobytem heretyków, było pomieszkaniem świętobliwego naszego pastérza JM. Xiędza Cardynała Św. Syxta (Jerzego X. Radziwiłła) wielkiego protektora naszego Zakonu, o czém powiedzieć słusznie można słowa Pisma Św.— że to był dom modlitwy, a oni go zrobili jaskinią łotrów.

Kasztellan na samo wspomnienie Radziwiłłów zasępił czoło i rzekł.

— Cóż robić Ojczy, nie jednym oni Wam dają się czuć boleśnie. I mnie oni niemało zaleli za skórę, a ja to wszystko ofiaruję Bogu i do końca wytrwam. To mówiąc Kasztellan siwy już włos pogładził, jeżący mu się wpośrodku głowy i musnął siwiejącego wąsa.

— JW Panu coś oni bez wątpienia nowego gotować muszą. Niczykły bowiem ruch i

szastanie w pałacu postrzegamy— rzekł X. Jan.

—Cóż, gotują się już do wojny! zawołał Hieronim Chodkiewicz.

—Nie widać tego, rzekł Jezuita— Lecz któż pojmie, co oni czynią? Latają tylko posłańce na wszystkie strony i przybiegają ze wszystkich stron, przynoszą listy i wysyłają bez ustanku — Jakieś wielkie przygotowanie. Słysząc iż wielu PP. Senatorów przybyć mają dziś do Wilna.

—Wiem ja o tém, rzekł Kasztellan—Zapewne o jakimś pojednaniu myśleć muszą, ale nie czas już o tém.

— I ja bym sądził, że to coś około zgody być musi, bo Wojewoda Radziwiłł wielce, jak jego dworscy głoszą, niespokojny jest; a niektórzy z jego partji odradzają mu silnie wojnę, i reflektują, na jakąby ztąd szkodę reszta przyszła, gdyby partykularni z sobą bić się poczęli; i jakąby ohydą okrył się ten, co by był pierwszym początkiem zaburzenia. Dziś rano odwiedzał nas jeden tajemnie nawró-

cony z Wojewody dworu, i mówił, że słyszał o jakiémś poselstwie do JW. Pana.

— Do mnie? od kogo? spytał Kasztellan prędko.

— Od Wojewody.

— W jakim celu?

— Tego jeszcze nikt spełna nie wie — Powiadają, że jutro ma mieć miejsce.

— Jutro! dziś, powiedział Kasztellan, zawszem gotów.

Jednakże postrzedz było łatwo, że Kasztellan stał się niespokojny tą nowiną — przeszedł się po komnacie przed siedzącym Jezuitą i spytał.

— Kogoż tam do mnie wysyłają?

— To pewne owych PP. Senatorów, którzy, jak wieśś niesie, dziś z różnych stron tu przybędą.

— Tak, tak! dodał: Chodkiewiczowi Senatorów? takich jak oni heretyków, odstępców, konfederatów tegorocznych, rokoszan, co się przeciw nam sprzysięgli i opisali, przeciw prawu, przeciw królowi, przeciw porządkowi! Dobrze to, że bratanek mój P. Starosta dziś

przybędzie, będzie świadkiem i pomocą przeciwnemu tyłu.

Jezuita stał jeszcze, potem nisko się uklonił, po raz, po dwa i po trzy wyrzekł solennie.

— *Laudetur Jcsus Christus.*

I wyszedł.

Kasztellan rozkazał zajechać kolassie i nie spokojny, wdziawszy na się szubę sobolą, karmazynowym axamitem okrytą, z długimi po pięty rękawami, czekał koni, których wkrótce tentent usłyszał. Dworzanin oznajmił że konie stały, i Kasztellan wyszedł. U wrót czekała kolassa, skórą złożoną wybita i cwiekami z główki złożoncami. Koła jej były niskie, siedzenie niewygodne.

W głębi siedział sam Kasztellan, woźnica w fcrezji na przedzie, dwóch hajduków u stopni, kilku konnych dworzan jechali obok, kilku z tyłu; kozacy nadworni z przodu dla rozpędzania przechodzących, torowania drogi.

Kasztellan wydał rozkaz:

Do kamienicy Pana Starosty Żmudzkiego — I konie strojne w pukle pąsowych

piór, wolno ruszyły naprzód, mijając pałac Sapieżyński Kancelerza Lwa, potem za-
ulkiem Bernardyńskim na ulicę Zamkową;
ztańd wprost już mimo Radziwiłłowskiego pa-
łacu ku kamienicy Chodkiewiczowskićj Jana
Karola.

Odwrócił się z umysłu ku Cerkwi twarzą
Kasztellan, gdy mimo okien Wojewody je-
chał, a służba ciekawa z bramy wypadła pa-
trząc na niego, szepecząc i smieszki strojąc.
Poważny dwór Kasztellana zdawał się na to
nie zważać; lecz w chwili, gdy okna mijali,
uchyliło się jedno, ukazała się czarna broda
Wojewody, i wyraz, *bannita*, zeicha wyrze-
czony, padł na ulicę.

Nie odwrócił się Kasztellan, lecz twarz jego
zapłonęła, ręka ścisnęła mocno za rękojeść
szabli, a w duchu wyrzekł pobożny.

— Ofiaruję to do twoich ran Jezu Chryste,
dopomóż wytrzymać.

Kolassa chyżo przesunęła się pod murami
Kardynalićj, i zastanowiła się u wrót kamie-
nicy.

Kasztellan wysiadł.

Gdy turkot powozu dał się słyszeć w ulicy, z okien Chodkiewiczowskiego palacu ukazała się nagle głowa młodzintkićj dziewczyny, bladćj, we włosy tylko przystrojonej — która mignęła i znikła. Kasztellan wchodził w bramę, w którćj zastał Marszałka Dworu i kilku dworzan z odkrytemi głowy stojących. Był tam i P. Barbier również z głową odkrytą, lecz nieco swobodniejszą postawą.

— Dzień dobry WMościom, niema Starosty — rzekł Chodkiewicz.

Dotąd niema, odpowiedział Marszałek, ale się go co chwila spodziewamy—ono co go nie widać.

— Oznajmić Xiężnie, że się z nią będę widział. — Wskazał ręką, i dworzanin jeden pobiegł wnet wschodami na górę.

— P. Barberjusz! Witam WMości. Kiedy tu przybyłeś? rzekł po chwili Kasztellan.

— Wczora dopiero wieczorem, a dziś już wziąłem się do roboty bez odwłoki.

— Do jakiej roboty?

— Do fortyfikacji kamienicy — odpowiedział Franenz.

Kasztellan uderzył nogą o ziemię niecierpliwie.

— Co WMośó mówisz?

— Taki miałem rozkaz P. Starosty.

— I jużś rozpoczął roboty.

Barbier wskazał ręką na ludzi pracujących i wznoszące się rusztowania, na kóły z wodą gorącą, której musiano dla zimna do murów używać.

— Niedobrze, że tak odkrycie to robicie — mruknął Chodkiewicz. Wszysey to widzą z ulicy, gadanie rośnie. Zwołajcie zpołowę ludzi, będzie jeszcze czas na to, róbcie tak tylko, jakbyście co poprawiali. — Nie pokazujcie tego, nie mówcie, że fortyfikujecie. Na co dawać assumpt złym językom ludzkim i tak zawsze skorym.

— Nadewszystko nie wybijajecie w murze strzelnic na ulicę — Można je urządzać zakryte.

— Rilka jest już wybitych — rzekł Barbier — nie miałem rozkazu tajenia się z robotą.

— Ja WMości nie winię, lecz na co w Panu Staroście ta popędliwość.

Dworzanin posłany wrócił i zawołał:

—Xieżna Pani oczekuje na JW. Pana na górze.

Rasztellan skinął głową i poszedł nienkontentowany. Dał znak ręką służbie, aby pozostała na dole, i sam jeden, przeszedłszy schody, otworzył drzwi wielkiej sali, w której na niego oczekiwała Zofja Olelkowiczówna Xieżna Słucka.

Sala ta z oknami od ulicy Wielkiej była cała ubrana w portrety i obrazy, ogromny pajak zwieszony ze stropu ją zdobił. Kilka weneckich w srebrnych ramach zwierciadeł, zegar stojący, wysokości kilku łokci, w skrzynce ozdobnej szklanej, zapępiały miejsc resztę. Dokoła długim rzędem stały krzesła z kręconemi nogami białe ze złotem, stoły marmurowe w postumentach, których nogi wyobrażały delfiny, gryfy i sfinxy skrzydlate.

Xieżna stała wpośrodku gdy wszedł Rasztellan. Była to blada, wysmukła blondynka, z jasnymi oczyma, smutną twarzą i wzrokiem, z usty blademi. Okrywała ją suknia z grubiej ciemnej materji fałdzista, oszyta forbotami, z ogonem wlokącym się po ziemi. Włos jej na wierzchu głowy był zebrany i bogatą

wstrzymany spinką. Podwyższały ją nieco korki trzewików, dodawała faldzista suknia na oko wzrostu i tuszy, lecz pomimo tego Xiężna Zofja była jeszcze tak cienka, tak delikatna, jak rzadko niewiasta, w owych mianowicie czasach. Na jój twarzy panującym wyrazem był rozlany smutek, którego się zdawał wrodzonym jej, nieodziedzicłym od niój. I nie dziw —

Była siórotą. Z wyrazem głębokiego smutku łączyła się jakaś rezygnacja, jakaś ciepłowość; ale z oczu jasno-niebieskich strzelało mimo to życie i uczucie.

Gdy Kasztellan wszedł, posunęła się Xiężna do jego ręki i ucałowała ją pokornie: na co on odpowiedział skłonieniem i ncałowaniem jój w czoło. Poczém dawszy jój znak ażeby usiadła, przysunął ku niój krzesło i miał mówić, gdy ujrzał w téj chwili dopiero u drzwi lewych stojącą sztywną i nieruchomą P. Ochmistrzynię.

Była to osoba dobrze już w wieku, a jednak mocno strojna, kołkiem prosta, a z oczyma wytrzeszczonemi tak, jak się to tylko godzi, bez

obrazy Bożkiej, mieć zabom na tym świecie. Suknia na uiej wyfałdowana była aż do śmieśszności, piersi aż do obrzydliwości odsłonię, chociaż weale nie było tam na co patrzeć. Na głowie co się działo, tego język nie wypowieć! Czegoż bo tam nie było na téj głowie! Były naprzód włosy swoje i włosy pożyczane, nastrożone, do góry wymuskane, świecące, a co najgorzej, zdradzające, że nie z jednego wszystkie wyrosły miejsca rozlicznemi odcieniami pasów. Były tam i trzęsidła i wstążki i spinki i kwiatki i piórka i szkiełka. Cały ten monstrualny czub francuzki, wznoszący się na łokcie w górę, nigdyłh w mniejsze drzwi pokorniejszego domu się nie wmieścił. —

P. Ochmistrzyni czekała jak Kania dęszczu spójrzenia Kasztellana, i doczekawszy się go wreście, jęła się kłaniać tak, zapomniawszy na ów sławny czub swój, że go dobrze nadwérężyła przez zbytnią pokorę. Kasztellan powitał ją kilką słowy, ale zaraz wyprawił. Nie zaręczamy, czy nie pozostała przy drzwiach, ale to pewna że wyszła.

Zaledwie się za nią drzwi przynknęły, Ka-

sztellan zwrócił się ku Xiężnie, którą zbadawszy wejrzeniem, rzekł:

— Mościa Panno, dochodzicie WMPanna lat słuszných i rozstajecie się z dzieciństwem dzięki Bogu, skończycie oto szczęśliwie rok szesnasty w Lutym — Jest za co Paun Bogu podziękować.

— I Wam, odpowiedziała Xiężna, którzyście opiekę nad sierotą mieli.

— Czyniliśmy do czego nas, mego ś. p. brata Starostę i mnie rodzic Wasz zacny zobowiązał. Czyniliśmy to z całego serca i duszy, myśląc o dobru Waszém i pomyślności.

— Umieć też i potrafię Wam, jak ojcu być wdzięczna, odrzekła Xiężna.

— Ufając téj Waszój wdzięczności i dobremu Waszemu sercu, odzywam się do Was, mówił dalej Kasztellan, jako już dorosłej i statecznej niewiasty, która wkrótce da Bóg dójdzie lat pełnych. Posłuchajcie mnie. Nigdy z Wami jeszcze nie mówił o sprawach ważniejszych, bo w Was szanował szczęśliwy wiek dziecinny, którego nie godzi się mącić i zasępiać. Dziś, jeśli Wam co niemiłego powiem,

weźcie to jako początek życia, które nie zawsze jest tak pogodne jak dziecinne lata, a Bóg zsylając nam cierpienia, przypomina niemi niebo ludziom.

— Cokolwiek bądź mi powiecie, odpowiedział Xieźna poważnie i spokojnie, lecz mimowolnie rumieniąc się lekko, przyjmę to wszystko z pokorą i uszanowaniem.

— Ani wątpię, rzekł znowu Kasztellan. Wiadomo jest Wam, że Xiaże Wojewoda Wileński starał się o Waszą rękę dla syna swego Xiecia Janusza.

Tu Kasztellan spójrzal na Zofję; ona udawała spokojność; lecz gdy wspomniał imię Janusza, zaploniła się, pobladła i widocznie pomieszała, Kasztellan się zasępił, lecz mówił dalej.

— I nieboszczyk brat mój i ja zezwoliliśmy na ten związek chętnie, widząc w nim i zaćność rodu stosowną i majątek ze strony Xiecia odpowiedni Waszemu i nadzieje wszelkich pomysłności. Na mocy naszego zezwolenia bywał tu Xiaże Janusz i starał się o przyjąć Waszą.

Rasztellan się zastanowił, Zofja milczała.

— Powiedzcie mi szczerze, powiedzcie mi otwarcie, tak jak opiekunowi, tak jak ojcu, pozyskał on ją czy nie?

— Wola opiekunów, będzie wolą moją — odpowiedziała Xiężna.

— Ja nie o to Was pytam, rzekł Rasztellan, ani to chcę wiedzieć, czy W. X. Moś posłuszną będziesz, bo o tém chwili nie wątpilem — lecz —

— Cóż mam powiedzieć?

— Zyskali Xiąże Jannusz Waszą przyjaźń?

Xiężna milczała Rasztellan podobnie —

— Wahacie się z odpowiedzią? Czuję — rzekł, że mię nie chcecie obrazić — żeście usłyszeć coś musieli o sporach, że naręście przywiązałaś się Xiężna do niego — Powiedzcie mi to, powiedzcie szczerze?

Xiężna jeszcze milczała.

— Nie dasz mi więc odpowiedzi? spytał jeszcze raz Rasztellan i czekał znowu.

X. Zofja powstała, twarz jej zaploniona ożywiła się, oczy zajaśniały —

— Chcecie po mnie szczeręgo wyznania, rze-

kła—lecz na cóż się ono zda? gdy nie moja wola lecz Wasza mną rządzi?

—Przynajmniej jednak, odparł Kasztellan, Możesz WMość być pewna, że muszę i gwałtem nie z nią robić nie będziemy, a jeśli ja chcę znać jej skłonność, to dla tego, abym na nią miał wzgląd!

—Wy mnie znacie, Wy wszystko wiecie, i nie potrzebujecie mnie pytać — odpowiedziała Xiężna Zofja.

—Cóż to Wy nazywacie że Was znam? Ja chcę Was znać lepiej, rzekł Kasztellan, lepiej niżeli ze słuchów i plotek—Ja chcę od Was to wiedzieć.

—Chcecie tego? odparła Xiężna — nie obwiniajcież mnie za to, coście sami wywołali z ust moich. Ja jestem posłuszną, znam moje obowiązki, znam dla Was wdzięczność wieczną—Ja Was szanuję i cenię, wiem że Wy jesteście przeciwni X. Januszowi, lecz ja — ja Xięciu Januszowi *sprzysięgam*.

— Wy mu sprzyjacie! zawołał Kasztellan, jakby się tej odpowiedzi obawiał i nie spodziewał—Tak że jest, takli jest w istocie? Tak?

— Tak jest, odpowiedziała śmiało Xiężna.

— I chcecie go za małżonka? spytał jeszcze.

— Dość powiedziałam — szepnęła eicho Xiężna.

— Teraz posłuchajcie więc, co Wam powiem, rzekł Rasztellan. *Wy* mu sprzyjacie, on *nas* nienawidzi, *Wy* wiuniście *nam* wdzięczność, on *nas* prześladowuje. *Wy* jesteście za Radziwiłłem, Radziwiłlowie są nieprzyjaciółmi *naszemi*: oni mnie, mnie, co to Wam mówię, bannicją grożą, oni *naszój* wiary (nie *Waszój* prawda) nieprzyjaciółmi, przeciw nam, przeciw niej, przeciw Króla się wiążą; oni by nas mogąc, wszystkich w łyżce wody potopili—I *Wy* im sprzyjacie?

— Powtarzam Wam, odpowiedziała Zofja spokojnie, że znam *Waszą* władzę nade mną i będę Wam posłuszna.

— Nie chodzi o to, abyś *W*Mość była posłuszna, — jestem tego pewny; lecz żebyś się przekonać chciała, co oni są za jedni!

— Nie moja to rzecz i nie białogłowskiego rozumu te sprawy sądzić.

— Jest to rzecz wszelkiego rozumu — nie-

chciejcie swojego poniżać Xiężno. Chciejcie mnie posłuchać. Gdy Xiąże Wojewoda starał się o Waszą rękę dla syna, gdyśmy mu ją z nieboszczykiem bratem przyrzekli, wiecie jak on się nam za to wypłacił?

— Nie wiem —

— Oto pozwalał nas, aby wyzuć z majątku. Oto przesładuje i odgraża się wojować z nami i wojsko spisuje i na nasze głowy się sprzysięga. Powiedzieć, możecie Wy, jeśli macie ku nam jakąkolwiek wdzięczność, jeśli macie ku nam serce dziecięce, być żoną X. Janusza, powiedzcie.—?

— Nie — odpowiedziała stale i zimno Xiężna—Nie—Ja to widzę.

— Bóg Wam zapłaci za to słowo, które mnie ożywia, rzekł Chodkiewicz podnosząc się i prostując; wy to czujecie pocziwie, coście dla nas powinni. Wierście mi, tamto przywiązanie wynijdzie Wam łatwo z serca.

— Nigdy—cicho odpowiedziała Zofja.

— Nigdy? podchwycił Rasztellan, nigdy? przecieżście sami przyznawali, że żoną Xięcia Janusza być nie możecie?

— Lecz mogę mu, dodała Xiężna, zachować

wać moje przywiązanie, szacunek do śmierci,—i to uczynię.

Kasztellan ruszył ramionami.

— Dla saméj Was, rzekł, trzeba, abyście się tego pozbyli, co zowiecie Waszą skłonnością dla Xięcia Janusza. Połączenie z nim jest rzeczą niepodobną. Im więcéj on się o nie dobijać będzie, tém ono niepodobniejszym się stanie. Im srożéj nalegać zechce, tém nas więcéj zajątrzy: pozbądźcie się więc tego, co Wam tylko młode lata zatruć może.

— Nigdy — odpowiedziała Xiężna — Lecz nie myślcie, dodała, aby to winne dla Was posłuszeństwo naruszyło — I to *nigdy* — i to — *nigdy* —

— Jakże to oboje pogodzić z sobą potraficie?

— Bóg to uczyni, a ja nie wiem jak — powiedziała Xiężna. Będzie jak On rozkaże i zrządzi.

— Posłuchajcie mnie jeszcze — rzekł Kasztellan; nie wątpię że się to odmieni. Tymczasem wymagam po Was Xiężno, rzeczy, którąście już sami za słuszną uznali. Pojmujecie,

że w takim położeniu, w jakim my jesteśmy, byłoby dla nas upokorzeniem, upodleniem ostatniem, byłoby pociechą nieprzyjaciół naszych, gdybyśmy Cię im oddali. Lecz Bóg to tylko widzi i wie, jak się wszystko skończy, Bóg to może odmienić. Zresztą w umowach naszych stoi, że *bez Waszej woli* i zgodzenia się Xiężno, oddać Was nie możemy, że przymusem tego nie uczynim. Oni się trzymają umowy i my jój nie odbiegamy. Potrzeba więc, abyście Wy, Wy sami, gdy tego będzie potrzeba, powiedzieli Xięciu Januszowi, że jego być, nie możecie—nie chcecie—

— Kto? ja? zawołała Xiężna Slucka porywając się, żebym ja to jemu powiedziała, kiedy co innego myślę! Na cóż? dla czego? Alboż wy nie jesteście mi opiekunem, alboż nie macie władzy nade mną, żebyście tego i beze mnie rozstrzygnąć nie mogli. Na cóż *ja* to mam mówić?

Kasztellan przejęty głosem młodej dziewczyny stał i mlezał. Odpowiedzi mu brakło, a raczej przejął się był jój położeniem i nie-

śmiał już nalegać, widząc i tak tyle uległości i poświęcenia z jej strony.

— Pomyślcie, rzekł po chwili. Sprawa się ta bez Was nie rozwiąże, jeśli Radziwillowie, jak sądzę, po umowę się odezwą spokojnie i do Was pójdą. My Was postawić będziemy musieli, Wy swemi usty powiecie Xięciu Januszowi—Nie.

— Lecz Xiąże Janusz znać będzie że to kłamstwo, zawołała Xiężniczka.

— Zkąd? spytał surowo Kasztellan, alboż to godzina względów daje zaręczenie za całą przyszłość—Albożecie mu przyrzekli?

— Dotąd nie; bez Waszój woli nie byłabym tego uczyniła.

— Gdybyście to nawet uczynili, odrzekł Kasztellan, dziecięce przyrzeczenia nie mają żadnego waloru, a w Waszych latach dopióro prawa pozwalają przyrzekać i obowiązują przyrzeczeń dotrzymać.

Xiężna milczała i słuchała.

— Stryju i opiekunie, rzekła po chwili wstając, nie żądajcie po mnie ofiary nad siły i kłamstwa, którym usta moje i serce się brzy-

dzi. Ja tego nie powiem, ja nie mogę tego powiedzieć Xięciu Januszowi; on wie, on czuje, że jestem mu skłonną. Na cóż się przyda kłamstwo moje, choćby ono w chwalebnych było wyrzeczone powodach. Ja nie powiem kłamstwa, nie wystawujcie mnie na taką próbę, ja tego nie uczynię, bo nad lata i nad siły moje.

— Nie nad siły, odpowiedział Kasztellan, bo Wmość, jak widzę, wołę macie i stałość nad lata. Nieby dla Was nie było trudnego, gdybyście chcieli tylko.

— Ja na wszystko się zgadzam, czego po mnie wymagacie, powiedziała X. Zofia przyklękając i całując Kasztellana w rękę, którą on śpiesznie usunął—lecz nie chcecie, żebym sama to mówiła Xięciu Januszowi—Dość będzie gdy Wy to ode mnie powiecie.

— Chciejcie rozważyć i swoje i nasze położenie, mówił dalej starzec. Jeśli przyjdzie do tego, że w obec Was o umowę się dopomną, że Was pytać będą, a Wy uniosłszy się jakąś fałszywą chęcią prawdy powiecie X. Januszowi, żeście mu skłonni i życzliwi. Powiedźcie, rozważcie jakie będzie nasze położenie w téj

chwili. Oto, upokorzeni, oddać Was będziemy musieli, milczć i wstyd polknąć.

— Więc nie dopuszczajcie aby do tego przyszło, rzekła Xiężna Zofja. Od Was to zależy, w Waszój to mocy, nie przywodźcie mnie do tego, odpowiedziecie mu sami, czyńcie co chcecie. Ja słowa nie rzeknę i będę posłuszną.

— Macie więc w wyrzeczeniu jednego słowa skrupul sumienia, nie chcecie popełnić kłamstwa?

Kasztellan rzekł to, inaczć nie mogąc pojąć oporu Xiężnej, jak wedle swych uczuć i myśli.

— Nie—odpowiedziała Xiężna, ale to jest nad siły, ja tego uczynić nie potrafię.

— Nawet dla ocalenia nam wstydu? spytał Kasztellan.

— Nawet dla ocalenia życia—odpowiedziała Zofja.

— Kasztellan tonem i słowy się zastanowił, wziął czapkę i zmarszczywszy czoło, rzekł.

— Jesteście rozumni nad lata, i wola Wasza nad lata; czyńcie co się Wam podoba, a my się starać będziemy, aby do tego nie przyszło, iżbyście Wy w tć sprawie wyrok dawać mieli.

Xięzna ucałowała rękę Kasztellana i pożegnała go w milezeniu—potém cicho ozwała się.

—Niéma więc żadnej nadziei zgody?

—Żadnej, na Boga, ani nadziei, ani podobieństwa! Radziwiłłowie spisują na nas wojsko, wszyscy się do nich łączą heretycy. Wszyscy nieprzyjaciele Katolików i Króla, wszystko się gotuje do wojny, która niechybnie grozi. Cała Litwa bierze się z nami, lub przeciw nas—a o *was* do oręża—

—O mnie! spytała Xięzna, tak że ja wiele obchodzę Xięcia Janusza!

O! nie myślcie tego, zawołał Kasztellan, który żwawo myśl, jaka mu przyszła do głowy, pochwycił i wyłuszczył. Jeszczeście byli dziecięciem, kiedy to było ułożono o Was. Nie o Was to chodzi, ale o Słuckie i Kopylskie Xięztwa, ale o dobra i majątności Wasze, które w dom ich wniesiecie—Nie Was to oni kochają, ale bogactwa wasze!

—Nie mnie! nie mnie! To Wojewoda mógł tak myśleć, może tak czynić, ale Janusz, onby tego nie potrafił, ośmielona odpowiedziała Zofja.

— Niedaleko, wierz mi Xieźno, pada jabłko od jabloni, rzekł Kasztellan; zresztą nie moja to rzecz was przekonać, ale czasu. Bądźcie zdrowi, a nie powtarzajcie bez potrzeby nikomu o tém, o czémei my tu mówili z sobą.

To mówiąc Kasztellan powtórnie w czoło Xieźnę pocałował, ona go w rękę; i tak się rozeszli. Zaledwie za Chodkiewiczem drzwi się zawarły, wpadła P. Ochmistrzyni do sali, ale już tylko Kasztellański but zobaczyła, i tego pożegnania, po które się tak śpieszyła, nie otrzymała.

— Otoż i nasz Pan Starosta jedzie! zawołała stając w oknie.

Zofja nie słyszała tego, nie poszła do okna, powolnym krokiem udala się do swoich komnat, a za nią wielce zasmucona także Pani Ochmistrzyni powlokła się poprawując swoich fioków na głowie, ciężących niemało ogromem.

Gdy się to dzieje, dwór Pana Starosty Żmudzkiego Jana Karola Chodkiewicza wjeżdża ulicą i długim ciągiem sunie się w Bramę Kamienicy, witany od dworzan i wszystkich mie-

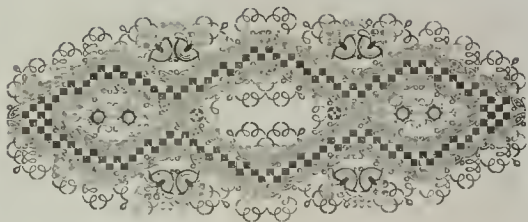
szkańców Wileńskiego pałacu. Ukazał się i Pan Starosta na końcu, jadący konno, przy którym kolassą jechał Xiądz Jezuita Spowiednik jego. Kasztellan Wileński stryj, stojąc na ostatnim stopniu wschodów, pierwszy go powitał z konia zsiadającego.



VII.

P o s ł o w i e.





VII.

Posłowie.



NASTĘPUJĄCO dnia wielki tumult przed Radziwiłłowskim pałacem, którego nie tylko dziedzińce, lecz i plac przed nim, napelnione były ludźmi i koniami pocztowymi.

wemi, hussarzami, hajduki, pajukami, kozactwem Panów Senatorów, co się tu byli zjechali. Tłum ten ludu, koni i kolass, wystawiał dziwniej rozmaitości obraz, któremu ciekawi Wileńscy mieszczanie przypatrywali się stojąc we wrotach kamienic, w oknach i na tych stosach gnoju i śmiecia, które jakby wałem większą część domów opasywały naówczas. Były tam wszelkiej barwy i kroju stroje: połyskujący hussarze, zamasyści z długimi seledcy kozaki, ogromni hajducy, mali pazikowie w opiętych sukniach, i dworzanie szlachta strojni każdy po swojemu, przy karabelach, na koniu. Cała ta ciżba dworska gwarzyła głośno, gdy Panowie u Wojewody na śniadaniu podobnież żywą wiedli rozmowę, przed udaniem się w poselstwie do Kasztellana Wileńskiego, imieniem Wojewody. Brakło jeszcze tylko P. Lwa Sapichy Kanclerza, zięcia Wojewody, który się był nieco opóźnił, lecz wkrótce i jego poczt się ukazał ciągnący ulicą od Zamku. Sam Kanclerz jechał kolassą i kilku tylko z sobą miał pacholąt. Ledwie już dla ścisku powóz Sapichy mógł zajechać

do wrót pałacu, mijając ludzi, konie i kolassy wprzód przybyłych. Wysiadł z niej w gankach Lew Sapieha, wysokiego wzrostu, męźnój i wspaniałej postawy mąż, którego twarz męzką zdobił wąs i bródka krótko ucięta; na głowie strzepiła się odrobina tylko włosów podgolonych. Kanclerz Lew udał się prosto do sali, w której już wszyscy zgromadzeni byli Senatorowie. Była to wielka komnata, wysoka, przecięta kilką długimi oknami, ozdobiona w trofea wojskowe, pozawieszane na ścianach, na obiciu z pąsowego axamitu. Wśród niej wrzawa była i nacisk, bo wszyscy przybyli rozmawiali żywo i razem. Xiążę Wojewoda z synem gospodarzyli gościnnie przyjmując. Zastawiony był stół wpośrodku, pokryty szytym we wzory, spadającym nisko obrusem, na którym kurzyły się srebrne z potrawami misy i pół-miski. Przy drugim stole był Marszałek Dworu i Piwniczny, mający dozór nad stosami srebrnych naczyń, konwiami, dzbanami i flaszami wina, kubki, becherkami i t. d. Dworscy posługiwali. Gdy wszedł Lew Sapieha, znać było, że się już śniadanie po-

częło od półgodziny najmniej, bo i twarze nim ożywione i głosy różniejsze były, niż na czczo bywają. Witął go uściskiem Pan Wojewoda i Xiążę Janusz, inni Senatorowie ukłonem, inni podaniem ręki — Zrobiono mu wnet miejsce przed stołem, i wrzawa na chwilę przyciekła —

— Opoźniłem się nieco, rzekł Kanclerz do Wojewody; ale to nie moja wina, tylko mego zegaru, który mi jeszcze nie tak spóźnioną godzinę mówił, jak jest może w istocie.

— Nie jest jeszcze późno, odrzekł Wojewoda, a na nasze poselstwo, do którego W Mościów Miłosiernych Panów uprosiłem, jeszcze wielka pora.

— Wiém, odpowiedział Lew, że Kasztelan w domu, i śnać przygotowany na przyjęcie nasze, bo i Pan Starosta Żmudzki przed godziną do niego przyjechał i Pan Alexander Chodkiewicz także tam być musi.

— Zapewne do rady wezwał bratanków, rzekł Xiążę z uśmiechem; ciekawa rzecz czy mu tak dobrze znów poradzą jak wprzód, kiedy go namówili na owo zaręczenie im dane. Nie

spodziwam się, dodał, aby co z tego poselstwa wynikło nowego, bo Chodkiewicze już nawet czy szczerze, czy dla pozorów tylko, kamienicę swoją, jak mi mówią, fortyfikują, i do wojny serjo się sposobią. Zapewne P. Starosta Żmudzki radby tu swoich wojennych talentów dać dowody.

— Wątpię aby do takich ostateczności przyjść miało, rzekł Lew. Ufam że PP. Chodkiewicze miłują pokój i zgodę. Mam wszelką dobrą nadzieję.

Lew Sapieha swego czasu znakomity człowiek, zawsze tym sposobem brał rzeczy, w każdej sprawie wyszukując środka, i tego się trzymając, żadnego stronnictwa nie podpierając wyraźnie, wszędzie usiłując być medjatorem i pojednawcą; był bowiem stworzony na pośrednika. Gdy te słowa mówi Sapieha, tym czasem Abramowicz Wojewoda Smoleński, rzuciwszy okiem na Lwa Sapiechę, ozwał się cicho do Starosty Mozyrskiego, kończąc rozmowę poczetą w przedmiocie religijnym.

— Dajmy pokój, bo oto Kanclerz nas słucha i gotów wziąć do siebie, co na papistów

i apostatów powiemy, należąc i do jednych i do drugich.

Zaczm unilkli i ustanowila się rozmowa ogólna, nie nicznacząca, powierzchownie tylko przedmiotów, i to obojętnych, dotykająca. Gdy się już śniadanie kończyło, Pan Wojewoda Wileński wezwał ku oknu PP. Senatorów zgromadzonych, i zaczął im przekładać żądania swoje z pewnym umiarkowaniem i wstrzeźmiewalnością języka, uważając na przytomność osób tyln.

— Wielce jestem WMościom miłym Panom a braciom obowiązany, rzekł, żeście raczyli na moją prośbę się nakłonić, i udzielacie mi pomocy Waszój w oplakanėj téj sprawie z P. Kasztellanem Wileńskim. Nie będę się tu rozszérzał z żalem moim, bo WWMościom aż nadto jest wiadoma, jako i całej Koronie i W. X. Litewskiemu sprawa nasza, jawna i znana. Jakkolwiek się ona zakończy, a ufam że dobrze i pomyślnie, słuszną jest, aby JMPan Kasztellan dozwolił tym czasem Xięciu Januszowi starać się o łaskę i przyjaźń przyszłej jego małżonki. Przez lat kilka miał

on wolny do niej przystęp; dozwolono mu było jej zasługiwać się; od czasu zaś jak się między nami te nieszczęsne zawiązały spory, odepchnięty został od domu JMPP. Chodkiewiczów i Xiężnej Zofji, a nietylko jemu drzwi zamykają, widzenie się trudnią, lecz posłańców nie puszczają, listy precz odsyłają, słowem, wszelką zerwać usiłują komunikację. Jeśli JMPP. Chodkiewiczowie i nadal tak postępować będą, widocznie nie zgody, jak powiadają, ale sporu i wojny okażą pragnienie. Raccie WM. wyłożyć im potrzebę, przyzwyczajność i słusność żądań naszych, których zresztą zadość uczynienie do niczego nie obowiązuje i w niczem PP. Chodkiewiczów nie wiąże. Niech Xiąże Janusz ma swobodne kądziego czasu wejście, a ja tym czasem więcej nie żądam. Spuszczam się na przemożną intercessją WWPP., miłych braci, iż to otrzymać u nich potraficie—i jeszcze raz ponawiam podziękę moją, żeście to poselstwo raczyli przyjąć na się —

Senatorowie kilką słowami odpowiedzieli, a mianowicie Pan Abramowicz Woje-

woda Smoleński, który odczuwał się za innych.

— W. X. Mość możesz być pewnym że się tak stanie, jak słusznie żądasz. Jakkolwiek P. Kasztellan unika dopełnienia umowy, nie potrafi w to, aby ją uniechętniał; sam on to czuć musi, że jest świętą i niezłamaną. Zaczém spodziewać się można, że nim zgoda i koniec temu wszystkiemu będzie, nie odmówi przynajmniej X. Januszowi przystojnego obcowania z przyszłą jego małżonką.

Po tych słowach Senatorowie zabrali się ruszać do pałacu Kasztellana Wileńskiego i uradzili między sobą, że głos miał być dany Rancierzowi Sapiezie. Powiedzieliśmy już iż człowiek ten, jako z charakteru swego mediator, najstosowniejszy był, gdy chodziło o zbliżenie nieprzyjaciół i pojednanie choć chwilowe powaśnionych. Naradziwszy się więc PP. Senatorowie poczęli żegnać Wojewodę, który miał ich z powrotem oczekiwać u siebie, i ruszyli potem Zamkową Ulicą, ku pałacowi Kasztellana pod Bernardyński Klasztor.

Kasztellan przygotowany był na ich przyjęcie. Przyszłego jeszcze dnia oznajmił mu coś

zrana o poselstwie X. Jan S. Jezu, później zaraz inue osoby blizkie Senatorów, nietylko o tém, ale i o przedmiocie poselstwa znać dały. Z przybyłemi więc właśnie P. Starostą Żmudzkim i bratem jego Alexandrem uczyniono naradę. Rownie oni, jak sam Kasztellan, wszelkiemu krokowi do zgody i wszelkiej powolności dla Radziwillów byli przeciwni. — Obrażeni, i nie bez przyczyny, słabsi, więc obrażliwsii, trzymali się dumnie i mocno w nieprzyjaźni swój, wyzywali wojnę, żeby nie okazać, iż się jój lękają. Dwaj bratanki Kasztellana umyślnie postanowili poselstwu być przytomni, dla tego, iż zawarta ze stryjem umowa, obowiązywała go nie bez nich w téj sprawie nie počynąć; postanowili nie postąpić nie, nie dać się ugiąć w rzeczy, a w odpowiedzi nie stanowczego nie wyrzec i zbyć czémś dwuznaczném. Chcieli oni okazać tém, jak mało dbają o zgodę i jak niepodobną ją widzą, gdy Xiążę Wojewoda tym krokiem ku nim okazywał przeciwnie, że zawsze stał przy pierwszój umowie, którą, jaką koniecznie dopełnić się mającą, uważał.

Gdy Panowie Senatorowie przybyli do pałacu Chodkiewiczowskiego, nie znaleźli tu na pozór żadnego na przyjęcie ich przygotowania. Zwykła liczba dworskich wyszła na ich spotkanie, żadnego nie widać było przyboru, żadnego oczekiwania, ani też podziwiania, gdy się ukazali. Kasztellan wyszedł do wielkiej sali z Panami Janem Karolem i Alexandrem synowcami swemi, z kilką przyjaciółmi, i tu posłów przyjął. Po pierwszych, acz bardzo zimnych przywitaniach, Lew Sapichą głos zabrał.

— Przybyliśmy tu; rzekł, P. Kasztellanie Wilński, w pośrednictwie i poselstwie przyjacielskiem od Xięcia Wojewody Wileńskiego.

— Wątpię, ażeby co przyjacielskiego między mną a Panem Wojewodą być mogło, odpowiedział Kasztellan zimno i poważnie.

— Nie chcecie się tak uprzedzać, odpowiedział Lew. Być może, iż okoliczności przywiodły was do oziębłości, do niechęci wzajemnych z P. Wojewodą Wilńskim; lecz mamy wszyscy nadzieję, że się to po przyjacielsku i

zgodnie, da Bóg, rozwiąże i ukoneczy. Smuci się i trapi sam P. Wojewoda Wileński, iż tak szkodliwe zajście rozdziela go—z P. Kasztellanem i całą rodziną JMości, ale ufa zawsze Jego sercu, iż potrafią się spory z powszechném obu stron zaspokojeniem skończyć. Wiadoma, mówił dalej Lew, jaka była umowa, ś. p. brata Jego i Waszego względem oddania Xiężnój Sluckiej pupilji Ich, za Xięcia Janusza syna P. Wojewody —

Tu Lew Sapięcha powołanie i dobitnie byłby dalej swój urzędowy wykład rzeczy ciągnął, gdyby mu żwawo Jan Karol z żołnierską popędliwością nie przerwał.

—Pan Wojewoda Wileński próżno w tę umowę bije, ona jest przeciwną prawom Kościelnym i W. X. Litewskiego i do skutku przyjść nie powinna, nie może. Nie przyjdzie! dodał kładnąc mimowoli rękę na szablę.

—Nie dla wszystkich, odpowiedział Abramowicz, prawa Kościelne są obowiązującemi.

—Lecz dla wszystkich sądzę, rzekł Jan Karol dumnie, obowiązującemi są Litewskie, które równie małżeństwa między blizkieni zaka-

zują, pod bękarcstwem dzieci i zabranie mą-
jątności.

—Wszakże nie pierwszy by to był przy-
kład takiego małżeństwa, rzekł Lew; stare
przykłady upoważniają do niego: mamy zawsze
nadzieję, że ono się da ułożyć. Tym czasem,
nim się te spory ukończą i rozstrzygną (o czém
nie wątpim) prosi przez nas Wojewoda i my
się o to wszyscy do JMPana Kasztellana wsta-
wiamy, abyście przynajmniej jednę część
Waszych obietnic dotrzyмали, nie broniąc przy-
stępu do X. Zofji i starania się o jęj względy
Xięciu Januszowi.

—Do czegoż to ma służyć? spytał zimno
Kasztellan: do tego, aby Xiężną Zofję wysta-
wić na szkalowanie, aby ją niejako zmusić
do przeciwnego prawom małżeństwa?

—Nie jest to myśl Wojewody—rzekł Lew
Sapicha, ani go o to posądzać się godzi, lecz
P. Wojewoda Wilciński, gotów będąc zawsze
obietnic swych dopełnić święcie, spodziewa
się mimo zająć i sporu, że JMPan Kasztellan
ze swęj strony podobnie postąpi. Radby on,
aby gdy to małżeństwo do skutku przyjdzie,

Xiąże Janusz nie był obcym swój żonie. Gdy, co więcej, powiedziano jest w umowie, iż Xiężna, nie przymusem i siłą (co słuszną) lecz z własnej woli i natchnienia, gdy się za X. Januszem zdeklaruje, ma być daną mu za żonę; sprawiedliwa jest dozwolić mu starać się o to, aby jej łaskę i affekt pozyskał.

Kasztellan zimno całego perjodu medjatorskiego z zwykłą Lwu Sapiezie płynnością, wycedzonego powolnie, wysłuchał, a po chwili rzekł.

— Nie potrafię się zrozumieć, Mości Kanclerzu—bo z innego punktu rzecz widzimy. Wy obstajecie za umową pisaną?

— Wyście ją sami podpisali?

— Zrobiłem to niecuważnie i nieprawnie, prośbami i naleganiem zmiękczony, a raczej braterskiem zobowiązaniem się zmuszony—rzekł Kasztellan—W tém chętnie przyznaję się do błędu i winy—i chcę się poprawić. Umowa ta nie ważna.

— Wy więc, spytał Lew Sapieha, za nieważną całkiem uważacie tę umowę? Wy do-

pełnienia tego, coście Waszym szlacheckim podpisem stwierdzili, odmawiacie?

Na te słowa, które Kasztellana, jakkolwiek wytrwałego i cierpliwego, krwią oblały, gdy usłyszał o złamaniu szlacheckiego słowa, wymienioném umyślnie przez Sapięgę, spodziewającego się zwojować wszystko przeciwne tym argumentem nieodpartym w owych czasach; na te słowa Kasztellan dumnie odstąpił krok, zaczerwieniony, błądy na przemian, drżący.

—Nie jest to miejsce, nie czas, rzekł, dominać się spełnienia umowy; a gdy będzie czas i miejsce potemu, okaże się jawnie, kto jak swoich zobowiązań i przyrzeczeń dopełni.

Domawiając tych słów, skłonił się Kasztellan, i unikając dalszej rozmowy, nalegań, przeprosin, prośb, kilka kroków w tył odstąpił. Było to hasłem pożegnania dla PP. Senatorów, którzy zrażeni zimną a dumną Kasztellana postawą, surowemi wejrzzeniami P. Alexandra i Jana Karola, więcej nalegać nie śmieli, w duchu przypisując zły skutek poselstwa niezwykłej przymówce Lwa Sapięhy,

i na niego zwałając całą winę. Za czém mieli się do wyjścia z niczém, i nadspodzianie krótko zabawiwszy, w milczeniu wracali do pałacu Radziwiłłowskiego.

— Kanclerz wszystko popsul, mówili po cichu w drodze; niechże się jak chce przed Wojewodą tęściem swoim tłumaczy teraz, my umywamy ręce.

Xiąże Wojewoda oczekiwał na nich z synem wielce niespokojny, wahając się między nadzieją a niepewnością skutku; lecz gdy z okien ujrzał tak prędko nazad powracający orszak, zdziwiony i pomięszany, sądził na-przód, iż Kasztellana nie zastali.

Syn równie, a może bardziej jeszcze niespokojny, nie śmiał złowrogiego ojcowskiego milczenia żadną przerwać uwagą: spoglądał na powracających, nie pojmo-wał powrotu.

Wreście podjechali pod Radziwiłłowski pa-lac, i w milczeniu szli po wschodach, nara-dzając się z sobą, jakby nieskuteczność poselstwa Wojewodzie Wileńskiemu osło-dzić.

— Wam Mości Kanclerzu przystało, rzekł Starosta Mozyrski, zdać sprawę ze wszystkiego. Ośłódzcie Wojewodzie jak można odmówienie PP. Chodkiewiczów—

Wojewoda oczekiwał na nich w progu, spójrział i poznał niedobłą nowinę na twarzach.

— Cóż nam przynosicie Mości Kanclerzu! rzekł, czy Kasztellana nie było w domu, czy Was nie przyjął?

— Owszem, uczciwie nas przyjął — rzekł Lew najswobodniej, medjatorską swą odgrywając rolę.

— I cóż odpowiedział? przerwał Wojewoda.

Kanclerz namyslał się jeszcze jak odpowiedź obrócić i ucnkrować, gdy Xiążę, domyslaający się wszystkiego, purpurowy stanął i wrząc od gniewu zawołał.

— Mości Kanclerzu! czyli nas i naszą prośbę znieważył??

— Bynajmniej, owszem, odpowiedział Lew.

— Więc dozwolił? zapytał Wojewoda równie szybko. To być nie może! Zanadto

znam jego i tych Jezuickich jego bratanków! Cóż odpowiedział? co odpowiedział?

— Słowo w słowo; przerwał Starosta Mozyski, widząc, że Kanclerz nie prędko odpowieć, a Wojewoda burzy się coraz bardziej; słowo w słowo, stryju—że gdy będzie czas i miejsce potem, pokaże się kto swoich przyrzeczeń i jak dopełni.

— Cóż to znaczy? krzyknął Wojewoda—czy wyzwanie!

— Ale nie! nie! przerwał Lew Sapieha—nie w tém to sędzę rozumieniu powiedzianém było—Kasztellan jest obrażony, trzeba mieć wzgląd na jego żal poniekąd słuszny!

— Odmówił więc, wołał Wojewoda—odmówił WWMMościom i mnie—odmówił tego o cośmy prosili, odmówił dozwoleńcia widzenia się z Xiężną Panu Januszowi?

— Na to nie odpowiedział wyraźnie, rzekł Lew—ale sędzę—

— Ja sędzę, rzekł Wojewoda, że to się inaczej jak z orężem w ręku nie skończy—Chce zatém, żebym poszedł z wojskiem dopomnieć się umowy! Chce tego, będzie miał.

Znajdę ja przyjaciół, znajdę ja swoich, tak jak on ma Króla i Jezuitorów — Chce wojny, chce wojny —

— Ale, Xiężę teściu, przerwał Lew, nie wyciągajcież tak śpiesznie wniosków tak dalekich — nie mówił, nie myślał o wojnie —

— A cóż to znaczy Mosci Kanclerzu — odpowiedział gorąco Wojewoda — jeśli nie to? Cóż to znaczy? że za nie ma umowę, że jój dopełnić, nawet w warunkach mniejszych i na przedstawienie Wasze, na prośby moje nie chce? Że ją zrywa — Ale na Boga Jednorodzonego, ja jój nie zrywam. Ja się o nią dopomnę, srogo się dopomnę! Przepraszam WWPP. moich a miłych braci, że m Was naraził na to nieprzyjemne poselstwo — Wybaczcie mi to, ałem się nie spodział, aby tak na niczem zejść miało. Bóg świadkiem moim! Ale znajdę ja inny, skuteczniejszy sposób na PP. Chodkiewiczów, i nie dozwolę żartować z siebie. Wszystkich WWMościów biorę za świadki, że m nie piérwszy umowę odstąpił, że nie ja ją zrywam, że ją sza-

nuję, a jeśli nie dobrą wolą, to muszę i orężem dopełnienia jej dopilnuję.

To mówiąc Wojewoda padł na krzesło zmęczony, trzęsący się od gniewu, spójrział na Xięcia Janusza, który stał także w płomieniach: spójrział, i uderzywszy ręką po kolanie, rzekł:

— Wojna! no to wojna! gotów jestem i do niej! Lecz nie ustąpię, na Boga Jednorodzzonego, nie pożyje mnie! Będziesz miał wojnę, kiedy jej chcesz i do niej wyzywasz! A krew ta niechaj spadnie na ciebie!

KONIEC TOMU PIĘRSZEGO.





SPIS ROZDZIAŁÓW.



I. Wstęp. Litwa i Wilno w r. 1599	13
II. W kamienicy Starosty Żmudzkiego . . .	43
III. Dzban Wina	67
IV. Radziwiłłowie i Chodkiewicze	89
V. W Kardynalij	119
VI. Kasztellan i Xiężna	139
VII. Posłowie	173







Biblioteka Raczyńskich

JK 788



JK0788